

# odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 17 stycznia 1960 r.

Nr 2 (98)

Cena 1 zł

## O MIEŚCIE W KTÓRYM ŻYJEMY

Rozmowa z I sekretarzem KŁ PZPR  
Michaliną Tatarkówną-Majkowską



Które spośród wielu przemian dokonanych na terenie Łodzi w minionym piętnastolecu uważacie za najważniejsze?

Za najważniejsze uważam dwie spośród nich. Pierwsza — to zmiana struktury społecznej naszego miasta, druga — dotyczy warunków bytowo-socjalnych ludności pracującej.

Przypomnijmy sobie, że według danych szacunkowych Łódź do 1939 r. liczyła 680 tysięcy ludności. W tej liczbie mieliśmy 174 tys. pracowników fizycznych, 30 procent spośród nich pracowało tylko 3 dni w tygodniu. Statystyki wykazywały także 22 tysiące pracowników umysłowych.

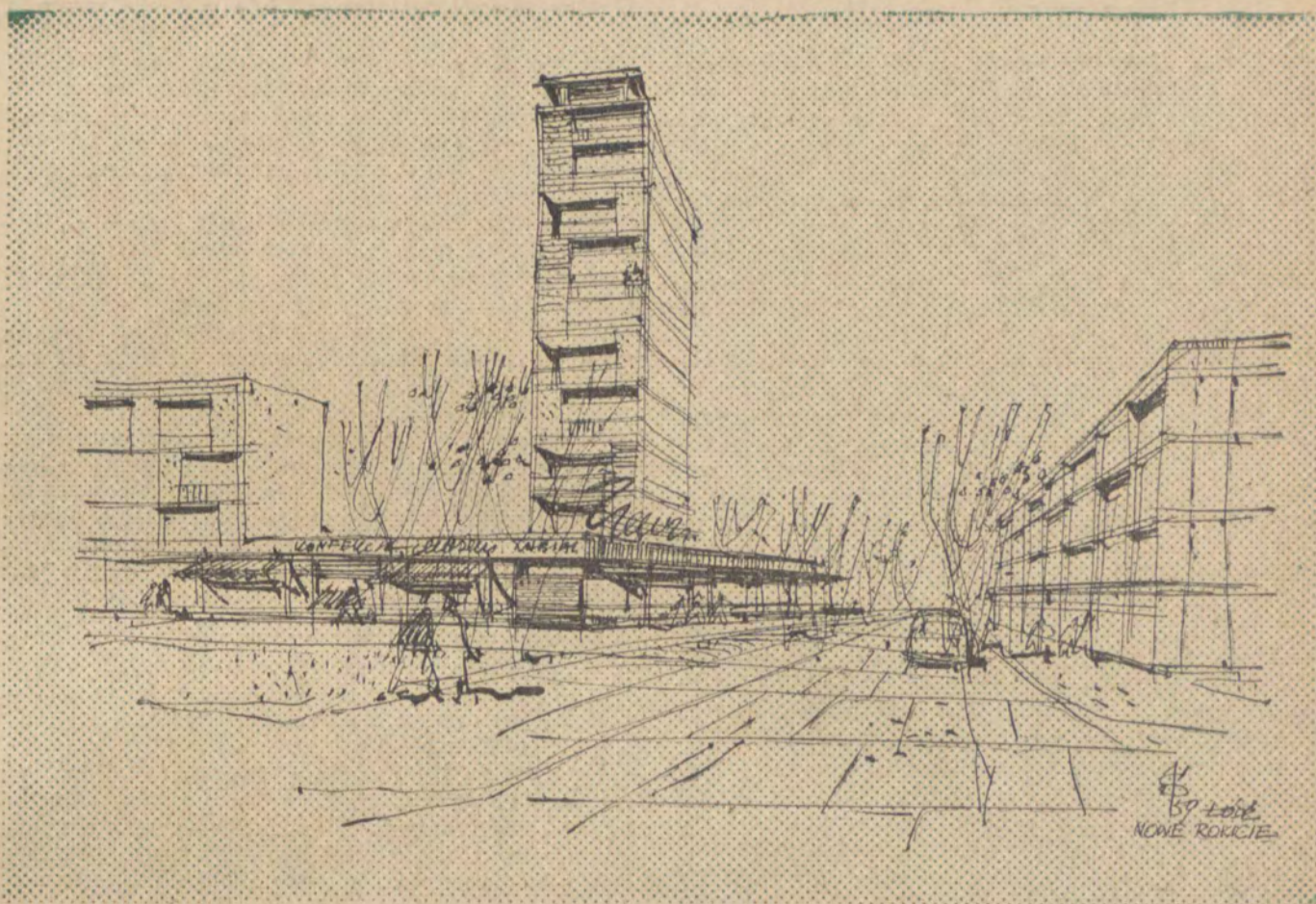
Zaden natomiast materiał statystyczny nie wykazuje liczby samodzielnych pracowników naukowych. W Łodzi brak było szkół wyższych, a do istniejącego w tym czasie łódzkiego oddziału Wolnej Wszechnicy z 300—400 słuchaczami, profesorowie i wykładowcy przyjeżdżali z Warszawy.

Obecna ilość mieszkańców Łodzi jest nieco wyższa — 700 tysięcy, lecz ilość zatrudnionych wynosi 350 tysięcy. Ponadto pracuje w naszych 8 wyższych uczelniach i instytutach naukowych ponad 2 tysiące samodzielnych i pomocniczych pracowników naukowych oraz duże liczebnie zespoły pracowników sztuki, kultury i oświaty.

Liczby i fakty te świadczą, że Łódź obecna w odróżnieniu od przedwojennej, stała się w hierarchii miast wojewódzkich jednym z bardzo poważnych ośrodków nauki, kultury i sztuki, nie tracąc przy tym charakteru miasta wybitnie robotniczego, miasta chlubnych tradycji walk o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Poza tym z liczb tych wynika, jak sądzę, wniosek, że władze terenowe, organizacje polityczne, za-

Dokończenie na stronie 2



Wizja przyszłej Łodzi. Centrum „Nowego Rokicia”. Inż. arch. Jerzy Samujło

ANDRZEJ BRYCHT

## OPOWIEŚĆ z tamtego wieku

Mój kraj nazywa się Polska. Moje miasto nazywa się Łódź. Mała fabryka dymi w styczniowe niebo. Suchy, beznieźny mróz nad Europą. Suchy mróz nad Radogoszczem. Mała fabryka czernieje w szybkim płomieniu. Ludzie krzyczą w płomieniu. Słaby jest ten krzyk. Ale jeszcze go słychać. Kiedy spaliły się drzwi, ludzie wybiegli na mróz. Mur określał granicę ich życia. Człowiek na wyższym strzelał. Nie musiał nawet celować. Zaszła noc, ludzie biegną do muru z własnym plimieniem.

Duża fabryka stała na ulicy Kątnej. Stoi do dziś. Przedtem nazywała się Bayerische Motor Werke, teraz nazywa się: „zakłady im. Gwardii Ludowej”. Ulica też się inaczej nazywa. A więc dużo się zmieniło. Tylko ludzie zostali ci sami, chociaż też się zmienili.

Tamtej nocy, a była to noc z 16 na 17 stycznia, trzysta wozów stanęło w rzędzie na ulicy Kątnej. Uzbrojeni Niemcy waliłi do drzwi sąsiednich domów. Prędko, prędko! — krzyčili. Wyszyli z nagranych mieszkań w suchy mróz tłuste żony niemieckie przewiązywały w pośpiechu perzyny, roztrzęsionymi rękami szarpały uszy rozespianych dzieciaków. Prędko, prędko! — krzyčili Niemcy. Wynosili szafy komedy. Starzy dziadkowie siedzieli już na wozach. Kierne grzebały w kamieniu, iskra poszła gdzieś pod kopyt trzysta wozów, czarny rząd, monstrualny karawan kłeski, Niemiec z bronią zapukał do drzwi Polaka. — Ubieraj się — powiedział — pojedziesz z nami. Nie myśl, że tylko my musimy uciekać. Chodź na wóz, zobaczysz jak to dobrze.

Polak Białecki wsiadł na wóz. Ruszyli przed świtem. Ruszyli w stronę Zdrowia. Myśleli, że ich kłeska idzie od strony Pabianic. A szła z innej strony. Więc ruszyli w stronę Pabianic. Na pabianickiej szosie tamten Niemiec powiedział: no, Białecki, uciekaj do domu. Białecki zeskoczył z wozu. — To nie był zły Niemiec — powiada Białecki — pomachałem mu ręką, a on patrzył na mnie z zazdrością i żalem.

Nastał świt, był już piątek, osiemnasty stycznia. Niedaleko ujechała karawana. W południe cały transport został rozbity. Pierze fruwało po polach. Na szosie obok innych trupów leżał trup Frau Krygier, żony portiera z Bayerische-Motor Werke. A jeszcze nie dawno, kiedy nocami do drzwi portierni stukali przeżeraeni warszawscy folksdojczycy Krygier powiedział: nigdy stąd nie wyjdziemy. To wszystko tylko panika.

Inni Niemcy byli bardziej rzeczowi. Obiecywali zrobić „krwawą środek”. Cóż, kiedy nawet na to nie starczyło im czasu.

W podziemiach dużej fabryki przy ulicy Kątnej leżały polskie maszyny, rozebrane, ułożone w skrzyniach, gotowe do transportu. Ale obok tych maszyn leżały również niemieckie maszyny lotnicze, ponieważ dzisiejsze Zakłady Przemysłu Węlnianego im. Gwardii Ludowej to były wówczas zakłady naprawcze części samolotowych. Niem-

cy mieli mało czasu, a musieli przede wszystkim wywieźć swój sprzęt. Dzięki temu ocalały polskie maszyny.

Ale czy Niemcy tak naprawdę chcieli ratować swój dobytek? Swoją tak, oczywiście, ale nie państwowy.

W tej dużej fabryce magazynierem był Kiener, Niemiec, który miał w Rudzie własny dom, prywatnie handlował wełną. Był on jednocześnie czymś w rodzaju kierownika transportu. Wziął sobie Kiener do pracy silnego, barczystego Polaka o skromnym nazwisku Grochowina. Wozili się co tydzień do Krotoszyna. Pod Krotoszyńcem na terenie dawnego folwarku, z którego wysiedlono właścicielkę znajdował się magazyn ewakuacyjny. Trzymali tam Niemcy części samochodowe, maszyny gotowe do produkcji, żywność. Na tydzień przed bombardowaniem Łodzi zawiózł Kiener do Krotoszyna pompę głębinową. Potem zaczęło się wywożenie żywności z łódzkich magazynów. Józef Grochowina dobrze pamięta trzy dni i trzy noce, spędzone na olbrzymim Dieslu z przyczepą, wypełnionym dwudziestoma tysiącami kilogramów wędliny.

— Tak się pan naje, panie Grochowina — powiedział Kiener zginając rękę w łokciu.

Była noc z siedemnastego na osiemnasty stycznia. Silnik pracował nierówno,

krztusił się w suchym mrozie. Grochowina siedział na przyczepie. Kiener w soferce. Do Krotoszyna nie mogli już dojechać, droga była odcięta. Kolowali więc po zamarzniętych drogach środka Europy, po wyboistych, zaminowanych drogach Polski. Popsuł się wreszcie samochód. Szosa ciągnął rozbity Wehrmacht. Kiener rzucił wojsku kiełbasy, wojsko naprawiło motor. Kuszyli dalej, po wsiach. Tu i tam zostawiali trochę kiełbasy, bimbru za to dostali. Samochód ciężki jak czołg, większy od czołgu z głuchym pomrukiem pędził do Litzmanstadt. Na wąskiej szosie w nocy, mijali nie kończący się tabor uciekinierów. Wreszcie na jakimś zakręcie wpadli na Niemca, który uciekał w trzy konie. Zmiażdżyli, pogнали dalej. Tu już nie było „Gott mit uns”, tu było „wędlna mit uns”, panie Kiener.

Znow popsuł się motor. Na postoju radio powiedziało, że w Litzmanstadt są Rosjanie. Ruszył motor dalej, na Litzmanstadt. Za dużo Kiener majątku w Łodzi zostawił, żeby się Rosjan bał. Halt! Wąska szosa, rozkopana, w środku nocy, w blasku reflektorów bliższy czapa generała SS.

— Uciekajcie z tej drogi! — krzyczy generał. — Ta droga dla was za wąska. Jak się wam motor zepsuje, zatarasujecie nam drogę. Za pół godziny będą tu Rosjanie, wszystkich nas wezmą do niewoli.

Zjechali w las. Saperzy zakładali miny. Grochowina wziął walizkę kiełbasy, oddał skórzaną kurtkę Kienera.

Dokończenie na str. 5

(Dokończenie ze str. 1)

wodowe i społeczne, winny stwarzać jak najlepszy klimat i warunki dla twórczej pracy środowisk pracowników nauki, kultury i sztuki naszego miasta, wśród których posiadamy szereg nazwisk znanych i cenionych nie tylko w kraju, lecz i za granicą. Myślę, obywatelu Redaktorze, że w sprawie tej wypowie się Wasz Tygodnik.

Druga sprawa — to, jak już wspominałam, warunki bytowo-socjalne ludzi pracy do 1939 roku, warunki tragiczne, o których tak żywo i plastycznie przypominają nam wiersze Tuwima.

Według niepełnych danych statystycznych i rejestrów urzędu pośrednictwa w Łodzi w latach do 1939 roku, co piąty obywatel był bezrobotnym, a w niektórych dzielnicach, że wymienię dla przykładu Widzew lub Zarzew co 3. Obecnie problem bezrobocia w ogóle nie istnieje, gdyż każdy zdolny i chętny do pracy zawsze znajdzie zatrudnienie, a nie do rzadkości należą przypadki pracy na więcej niż jednym etacie. Czyż ten fakt nie mówi, jak wiele zmieniło się w okresie piętnastolecia?

Warto spojrzeć i na inne liczby świadczące o dokonywających się zmianach w warunkach życia ludzi pracy. W 1939 roku mieszkania 1-izbowe stanowiły ponad 62 proc. ogólnej ilości mieszkań, o przeciętnym zagęszczeniu około 4 osoby na izbę, dziś natomiast mieszkań 1-izbowych posiadamy około 45 proc., przy średnim zagęszczeniu około 3 osób, przy czym ilość mieszkań 2 i 3-izbowych wzrosła z 29 do 48 proc. Stan ten uległ poprawie na skutek wybudowania od 1945 roku 55 tysięcy nowych izb mieszkalnych. Warto jednak dla prawdziwości obrazu nadmienić, że w tym czasie zostało rozebranych ponad 25 tysięcy izb w starych domach, zwłaszcza drewnianych, nie nadających się do remontu. Dlatego też uważam, że wybudowanie do roku 1965 stu tysięcy izb mieszkalnych trudnej sytuacji mieszkaniowej naszego miasta nie rozwiąże, lecz tylko ją złagodzi.

Liczba mieszkańców korzystających z wodociągów miejskich w stosunku do okresu przedwojennego i roku 1945 wzrosła z 4 do 65 procent w 1959 roku, a ilość domów skanalizowanych ze 132 i to tylko w centrum miasta wzrosła do 3.952.

W zakresie troski o zdrowie ludności miasta zaszły również poważne zmiany. Ogólna ilość łóżek w szpitalach wzrosła z 3.152 do 6.047 nie licząc łóżek dla niemowląt, a liczba lekarzy medycyny z 568 podniosła się do 1.450.

Matki włókiarki poznały dobrodziejstwo wynikające z powstania sieci żłobków i przedszkoli. Zniknęło z domów i ulic Łodzi żebractwo dzieci, a także osób starszych wiekiem, gdyż liczba rencistów i emerytów wzrosła z około 4 tysięcy w 1939 roku do 63 tysięcy. Mają już oni zapewnioną egzystencję bez upokarzającej żebrani. Pragnę na marginesie tych spraw dodać, że niezależnie od poetów, odsłonimy błękit nieba nad Łodzią, zasnutą chmurą dymu i pyłu kominów fabrycznych. W najbliższym czasie setki kominów przestanie dymić.

Myślę, że już z wymienionych faktów wynika, jak wiele w tej dawnej szarej i brudnej Łodzi zmieniło się na lepsze. Miasto nasze stało się bardziej czyste, piękniejsze. Tak więc jesteśmy na słusznej drodze ku lepszemu jutru. Tym właśnie optymizmem i wiarą w szczęśliwszą przyszłość, chciałabym zarazić Waszą i pozostałe redakcje oraz całe łódzkie społeczeństwo.

Jaki jest Wasz pogląd na podstawowe założenia planu perspektywnego rozwoju Łodzi? Zakłada się, że Łódź ma rosnąć niejako w sensie jakościowym, a nie ilościowym, to znaczy, że rozwój miasta polegać ma na wszechstronnym polepszaniu warunków pracy, mieszkań, komunikacji itd. dla obecnej ilości mieszkańców Łodzi (plus oczywiście przyrost naturalny) przy jednoczesnym wykluczeniu możliwości przyrostu ludności. Jednym słowem: czy Łódź winny przyświecać ambicje miasta „milionowego“ czy też ambicje „dobrego“ miasta 800-tysięcznego? I w związku z tym, jakie powinny być kierunki zmian struktury przemysłu łódzkiego?

Moim zdaniem w odpowiedzi nie należy pasjonować się pytaniami czy Łódź ma liczyć 800 tysięcy czy milion mieszkańców. Uważam, że przede wszystkim należy się liczyć z występującymi realiami w dzisiejszym życiu miasta i społeczeństwa. Jak wiadomo — podstawą przy opracowywaniu perspektywnego planu rozwoju i rozbudowy Łodzi był rzeczywisty stan miasta oraz realne potrzeby ludności w zakresie mieszkań, zdrowia, oświaty, kultury, komunikacji, zaopatrzenia itd. Wydaje się, że taka właśnie postawa jest logiczna i słuszna. Aby odpowiadać za przyszłe pokolenia, trzeba najpierw dzisiejszym stworzyć dobre warunki życia. A zatem, nie jest najważniejsze ile np. w 1970 roku Łódź będzie liczyła ludności, lecz w jakich warunkach żyć, pracować i uczyć się będą jej mieszkańcy. Samo życie zaś narzuca w odpowiednim czasie konieczność korekty opracowanych już planów.

Kończąc odpowiedź na to pytanie, pragnę dodać,

iż plan perspektywny zakłada w Łodzi znacznie większe niż dotąd zróżnicowanie branż przemysłu, co nie oznacza, że Łódź straci charakter polskiego Manchesteru i kolebki włókiennictwa w kraju. Powstała już fabryka zegarów, aparatów telefonicznych, maszyn włókienniczych, buduje się fabryka transformatorów, nawiasem mówiąc, pierwsza tego typu w kraju.

Niech więc troską wszystkich nas łącznie z „Odgłosami“ będzie, by nakreślone plany były porządnie wykonywane. Należy zresztą przyznać, że tej właśnie trosce dajecie wyraz na łamach swego tygodnika. A wtedy, nawet przy milionie mieszkańców, będzie się żyło ludziom w Łodzi dobrze i radośnie.

Podobnie jak Wy, zespół „Odgłosów“ uważa za centralny problem społeczny Łodzi — kwestię kobiecą, tzn. pewne upośledzenie życiowe kobiety łódzkiej wyrażające się w nadmiernym ich zapracowaniu i odgradzeniu od zdobyczy modelujących współczesny styl życia. Uważamy, że kwestia jest bardzo trudna i stopniowo rozwiązywalna.

Daliśmy temu wyraz we wstępnej publikacji naszego numeru noworocznego, zgłaszając nawet pewne propozycje w tej mierze. Co sądzicie na ten temat i jak oceniacie nasze propozycje?

Uważam za bezwzględnie słuszne, że „Odgłosy“ artykułem z dnia 10 stycznia br. wszczęły dyskusję nad tak ważnym problemem społecznym, jakim jest kwestia pracy zawodowej kobiet w Łodzi. Przecież każdy łódzianin wie, iż zatrudnienie kobiet w naszym mieście jest najwyższe w kraju i wynosi 45

# O MIEŚCIE W KTÓRYM ŻYJEMY

Rozmowa z I sekretarzem KŁ PZPR  
-Michaliną Tatarkówną-Majkowską

proc. ogółu pracujących, a w przemyśle włókienniczym 67 proc. Tym bardziej jest to poważna kwestia, że z dominanty przemysłu włókienniczego w naszym mieście, ani też z przewagi zatrudnionych w tym przemyśle kobiet nie możemy zrezygnować.

Specyficzny stan istniejący w strukturze zatrudnienia nakłada na władze terenowe, organizacje polityczne, zawodowe i społeczne, instytucje naukowe, kulturalno-oświatowe i inne, specjalnie ważne zadania i obowiązki. Idzie przecież o to, by uczynić pracę zawodową kobiet lżejszą i mniej męczącą. I o to, by pracę i obowiązki domowe żony i matki ułatwić, skrócić w czasie.

Po pierwsze, wymaga to jak najsprawniejszego w czasie wykonania planu inwestycji i modernizacji parku maszynowego w zakładach przemysłu lekkiego — zwłaszcza włókienniczych. Na ten cel resort przeznaczył milionowe kwoty do 1965 roku. Wynikiem szeregu inwestycji, unowocześnienia maszyn i urządzeń będzie mniej męcząca praca, równocześnie nastąpi wzrost ilości i jakości dotychczasowej produkcji. A to pozwoli z kolei na obniżenie współczynnika zmienności, umożliwi stopniowe przechodzenie na dwuzmianowość. Jak widzimy są realne możliwości, by praca zawodowa kobiet — włókiarek stała się lżejsza. Warto więc zobowiązać wspomniane wyżej instytucje aby sprawie tej poświęciły więcej czasu i wysiłku.

Po drugie — czas najwyższy skończyć już ze sloganami i zobowiązaniami różnych władz i instytucji zwłaszcza przed każdym 8 marca, mówiących entuzjastycznie o ułatwianiu kobiecie życia poza pracą zawodową. Mniej słów, więcej konkretnych czynów.

Myślę, że należy co rychlej przystąpić do organizowania szeroko i rozsądnie zaprojektowanej sieci takich punktów usługowych jak — pralnie, szurnie i magle bielizny, szwalnie i wypożyczalnie sprzętu domowego. Zakłady pracy i inne instytucje powinny organizować dwuzmianowe żłobki i przedszkola. Musi być wreszcie usprawniona praca i zaopatrzenie handlu detalicznego tak, by zniknęły codzienne kolejki w sklepach. Muszą się także zna-

leźć lokale-pokoje, zwłaszcza w nowo budowanych blokach mieszkalnych, na zebrania domowe i oglądanie programów telewizji. Zgadzam się z koncepcją „Odgłosów“ w sprawie wspólczesnego aparatu.

W tej dziedzinie jest wiele do zrobienia. Uważam, że kobiety mają prawo żądać, by rady narodowe, związki zawodowe, kierownictwa zakładów pracy, urzędów i instytucji w zakresie swych obowiązków i kompetencji praktycznie wcieliły w życie deklarowane do tej pory zamierzenia i zobowiązania. Poważną rolę w tym zakresie winny spełniać również Terenowe Komitety Frontu Jedności Narodu oraz komitety blokowe i domowe, reprezentujące między innymi sprawy społeczne kobiet swego rejonu czy domu.

Po trzecie — uważam, za nie mniej ważną sprawę — potrzebę podnoszenia poziomu świadomości i osobistej godności kobiety, potrzebę kształtowania jej poglądu na współczesne życie, kulturę, sztukę, planowanie rodziny, wychowanie dzieci itp. Dokonać tego możemy przez organizowanie w lokalach organizacji i zakładach pracy odczytów, prelekcji, pogadanek, wystaw i pokazów praktycznych opracowanych w sposób zarówno popularny, jak i naukowy.

Posiadamy wszelkie możliwości w kształtowaniu postawy kobiet pracujących i niepracujących. Matki w naszym mieście wysoce cenione w pracy naukowo-dydaktycznej środowiska twórcze, które w swej działalności społecznej winny decydująco wpływać na prawidłowe unowocześnienie stylu życia łódzkich kobiet.

Bieżący numer „Odgłosów“ jest 98 z kolei — następny będzie 99 i — jak sobie trochę przekornie wobec przyjętych obyczajów założyliśmy — jubileuszowy. Czy wobec tego naszego małego jubileuszu, nie chcielibyście zwrócić się od serca, co sądzicie o naszym piśmie?

Nie oczekujemy, oczywiście, komplementów. Pragnęlibyśmy usłyszeć, co Waszym zdaniem należałoby w „Odgłosach“ poprawić?

Uważam, obywatelu Redaktorze, że Wasz zespół redakcyjny z ambicją i uporem stara się wypracować właściwy profil i kierunek swego tygodnika. Poza tym „Odgłosy“ traktuję jako tygodnik ciekawie redagowany, który jest i magazynem i pismem społeczno-kulturalnym. Moim zdaniem cenić je należy za śmiałe omawianie spraw i problemów moralno-obyczajowych i społecznych Łodzi i województwa, wstydliwie na ogół przemilczanych, za troskę o rozwój i kulturę miasta i społeczeństwa, zwłaszcza łódzkich przedmieść.

Sądzę jednak, iż poczynając od jubileuszowego 99 numeru „Odgłosy“ winien cechować jeszcze bardziej skryształizowany profil polityczno-społeczny, myślę też że mniej będzie artykułów o posmaku sensacyjnym, a jeszcze więcej poruszających istotne zagadnienia naszego życia. Sądzę również, że „Odgłosy“ winny być szeroką trybuną dla udanych debiutów literackich, prozatorskich i poetyckich (jak np. reportaż Brychta o Widzewie). „Odgłosy“ powinny stanowić szeroką trybunę dla łódzkiej inteligencji naukowej i twórczej.

Na koniec powiem Wam, iż ambicją zespołu Waszego winno być pozyskanie szerszego kręgu czytelników nie tylko w Łodzi i województwie, lecz w kraju.

Co chcielibyście z okazji 15-lecia powiedzieć pod adresem łódzkiej inteligencji?

Jako łódzianka i gorąca patriotka naszego miasta, cieszę się niezmiernie i dumna jestem podobnie jak wiele tysięcy łódzkich patriotów, że Łódź ma własną łódzką inteligencję i uzyskała należne jej miejsce w czołówce miast wojewódzkich. Łódzka organizacja Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w ciągu całego piętnastolecia, zawsze spotykała się ze zrozumieniem łódzkiej inteligencji dla swych poczyną.

Kończąc, pragnęłabym pod adresem naszej łódzkiej inteligencji wyrazić życzenie, ażeby podjęte na plenarnym posiedzeniu KŁ PZPR uchwały w sprawie upowszechnienia kultury były przez łódzką inteligencję nie tylko doceniane, lecz również i realizowane.



Dziś  
Belfer  
wykłada  
na str. 4.

# SZTUKA JEST ICH RZEMIOSŁEM

**B**ył wrzesień 1945 r. W zadymionym pokoiku zebrali się Leon Ormezewski, Władysław Strzemiński, Roman Modzelewski, Chwałistaw Zieliński, Ludwik Tyrowicz i Stefan Wegner. Tak narodziła się Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi. Kilka pokoiów przy ul. Narutowicza 77 pomieściło 80 studentów, a wśród nich znanych już dzisiaj artystów: Lecha Kunke i Stanisława Fijałkowskiego.

Początkowo PWSSP posiadała trzy wydziały. I tak: Wydział Włókienniczy z zakładami tkactwa i druku na tkaninie; Wydział Plastyki Przestrzennej z zakładami grafiki, plastyki przestrzennej i scenografii; Wydział Filmowy, który z inicjatywy jego założyciela profesora Mariana Wimmera po roku przekształcił się w samodzielny Wydział Sztuki Filmowej. Zakład plastyki przestrzennej przekształcił się w zakład plastyki architektonicznej realizując pełny artystyczny i teoretyczno-techniczny program architektury.

Taka organizacja uczelni zapowiadała jak najdalej idącą realizację hasła sztuki nowoczesnej w codziennych potrzebach człowieka. Pozwalała na współzycie nowych kierunków sztuki, reprezentowanych przez grono profesorów, a jednocześnie zaspokajała potrzeby przemysłu w zakresie wzornictwa.

W maju 1950 r. nad uczelnią łódzką zawisła groźba likwidacji. Z trzech wydziałów pozostał już tylko jeden: Włókienniczy — gdyż trudno by było umotywić jego zamknięcie w głównym ośrodku przemysłu włókienniczego. Lata nadchodzące, to okres likwidacji zakładów grafiki, architektury, scenografii, to lata walki o istnienie uczelni choćby — jedno-wydziałowej.

„Gdy toczy się walka — mówi rektor PWSSP prof. Roman Modzelewski — jej koniec nie jest jeszcze przesądzony. U nas dzieją się takie rzeczy, o których wie Paryż, a nie wie Warszawa. Uczelnia nasza naraża się



Tak malują studenci z pracowni prof. Głowackiego

Wielkim Plastykom i Warszawie. Dawno już zostali byśmy wchłonięci przez żarłocznego sąsiada, gdyby nie nasza wyraźnie skryształizowana ideologia. Związaliśmy się z nowoczesnym życiem, a nowoczesne środki produkcji przyjęliśmy za podstawę twórczości.

Uczelnia bardzo chętnie związała się z przemysłem, ale nie tak dawno jeszcze Ministerstwo Kultury i Sztuki za Sztukę uważało tylko rękodzieło (vide przedwojenne hasło: „Fabryka to tandetą, więc ręce (artystów) od niej z daleka“). Cóż, sprawa związku uczelni artystycznej z przemysłem nie interesowała ministerstwa. Więc nie było naszych wystaw w Warszawie, nie było pieniędzy na warsztaty, nie było pieniędzy na dalszy rozwój.

A jednak związać się z przemysłem ocaliło stajenie uczelni. Choć i przemysł, z uwagi na zacofany park maszynowy, też początkowo nie

palil się do tego mariażu. Rozpoczął się wyścig: Czy szkoła prędzej będzie potrzebna, czy prędzej ją zlikwidują? I wyścig został wygrany. Ale wtedy w ludziach Szkoły zobaczono nie plastyków, a tylko element ważny gospodarzo.

I po dziś dzień malarstwo w tej szkole jest tylko jednym z wielu przedmiotów. Mimo, że reprezentuje jedyn z najwyższych poziomów w Polsce. Widziałem na Festiwalu Kulturalnym Studentów w Krakowie wystawy wszystkich uczelni plastycznych. Szkoła łódzka, zaskoczyła wszystkich i wszystkim: kompozycją przestrzenną kącika przydzielonego jej na ekspozycję, tkaninami, ceramiką i wreszcie malarstwem dalekim od akademizmu. Zastanawiałem się wtedy, dlaczego? Dziś już wiem. W łódzkiej szkole nie ma ustawowych konwencji, nie ma mistrzów i ich wiernych naśladowców. Jest tyl-



Kiedy te prace trafią na wystawy sklepów?

ko teoria indywidualnego widzenia. Jest piękna tradycja Władysława Strzemińskiego. Czy godzi się wobec tego odmawiać tym ludziom tytułu ARTYSTY? Przecież to dzięki temu, że talent swój oddali fabryce, życie nasze staje się kolorowe“.

Mówi dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego ob. Kubczek:

„Szkoła jest potrzebna i absolwenci na ogół zdają egzamin w przemyśle. Starzy praktycy mają nad nimi przewagę między innymi dlatego, że szkoła nie posiada odpowiedniej bazy technicznej do szkolenia. Nie jest jednak tak trudno ją uzupełnić. W imieniu swego zjednoczenia, oświadczam, że możemy szkole przydzielić bezpłatnie po jednej najnowszej maszynie“.

Mówi dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Wełnianego ob. St. Olszak:

„Nowi absolwenci bardzo nam pomogli podnieść poziom wzornictwa... Nie jest dla nas problemem dać szkole nowoczesną maszynę, która jest jej potrzebna. Podobnie możemy ofiarować małe ilości przędzy kolorowej. Sprawy te trzeba załatwić tylko z resortami. Wszystkie braki techniczne, z jakimi boryka się uczelnia są do pokonania. Dla nas nie istnieje w tym przedmiocie żadne trudności — jest tylko kwestia podpisania papierka (!) Nie możemy jedynie wybudować szkole nowego gmachu... Jeżeli chcemy, aby plastycy zajęli czołowe miejsca w przemysłowej kadry kierowniczej, uczelnia musi mieć PRAWA AKADEMICKIE, to jest takie, jakie przysługują Akademii Plastycznym w Krakowie i w Warszawie. Sprawa ta jest niezmiernie ważna dla właściwego zagwarantowania absolwentom szkoły miejsca w przemyśle. Pozbawienie uczelni praw akademickich postawiłoby absolwentów w trudnej sytuacji. Byłby oni mniej ceni i mniej wynagradzani. A przecież to oni w przyszłości zastąpią starą kadry techniczną, która musi albo uzupełnić swoje wykształcenie albo odejść“.

Rozmawiam z zastępcą rektora do spraw administracyjnych, Józefem Kozendrą. „Uczelnia wchodzi do planu 5-letniego. W otoczeniu naszej szkoły na placu przy ul. Narutowicza 79 i 79a, oraz w kierunku ulicy Wierzbowej powstają nowe budynki, które pomieszczą



znajdujące się daleko poza terenem uczelni studia tkactwa, druku na tkaninie, warsztaty i zakłady artystyczno-badawcze. Niewątpliwie oszczędzi to dużo czasu tak pedagogom jak i studentom. Przy szkole działają zakłady artystyczno-badawcze. Kiedyś były bliskie upadku, a w roku 1959 miały ok. miliona zł obrotu.

Zakłady te powinny być miniaturką poszczególnych gałęzi przemysłu w dziedzinie projektowania wzornictwa i kontynuowania pracy naukowo-badawczej. Sądzę, że z czasem cel ten niewątpliwie osiągniemy.

Obecnie szkoła jest już w posiadaniu miniaturki tkanin. W najbliższym czasie mają dojść krosna lniarskie, i do dwa krosna bawełniane i jedwabnicze. Ulica Piotrkowska nr 167. Idzie się długo, omijając zapachy i szklane stłuczki naczyń laboratoryjnych jakiejś spółdzielni chemicznej. Na końcu podwórka mała tabliczka: „PWSSP — Studium Druku na tkaninie“. Wchodzę. Na parterze prymitywne, dużo wojen chyba pamiętające warsztaty, a raczej długie stoły zaopatrzone w równie długie poziomo umieszczone rynny. Tu rozciąga się płótno, nakłada się „siatki“ i smaruje farbą, a farba ścieka do rynny. Na

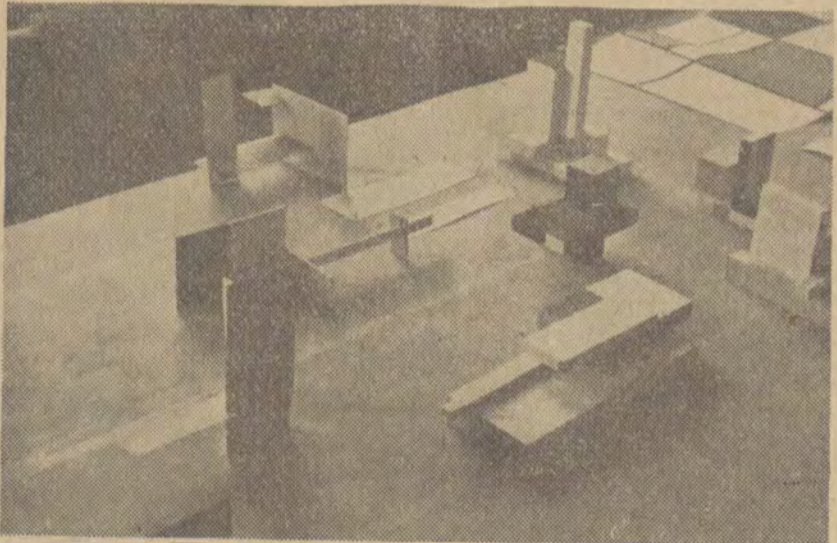
rozłożonym płótnie pozostaje wzór. Ale zanim obejrzymy się na ulicy za oryginalną spódnicą ślicznej dziewczyny muszą powstać projekty. Piętro wyżej nad warsztatami studenci rysują. A rysują tak żeby profesor Teresa Tyszkiewiczowa była z nich zadowolona.

Lecz kto nie byłby zadowolony, gdyby wzory jego uczaiów były nagradzane konkretnym ekwiwalentem w postaci, ach jakże potrzebnych, pieniędzy! Ano tak, w konkursach, organizowanych przez poszczególne resorty przemysłu włókienniczego,

szkoła łódzka z reguły zabiera wszystkie niemal nagrody. Do pewnego czasu najpiękniejsze wzory szły tylko na kreton, ostatnio sytuacja wyraźnie się poprawia. Gusty przedstawicieli przemysłu ulegają już — nareszcie! — zmianom. Po ostatniej szkolnej wystawie zakupiono do produkcji wszystkie najlepsze wzory. A że wzory te znajdują uznanie nie tylko u nas, niech zaświadczy fakt, że jedna z tegorocznych absolwentek Szkoły jest już w Paryżu, tam projektuje i bardzo jej dziękują. A inna z niemieckim powołaniem projektuje w Londynie. I co wy na to. Szanowni Czytelnicy oklaskujący paryskie pomysły rodzimej „Telimeny“?



Dekoracja do spektaklu Dejmka? Nie, to jeden z projektów wykonany przez studentów PWSSP



Wizja przyszłej Łodzi? Czy tylko prace studentów z kompozycji

# MOJ TOAST

Niestety, nie będę mógł opowiadać wnukom, jak wyzwalalem Łódź, bowiem gdzie indziej przeżywałem ów jedyny w swoim rodzaju nastrój ulicy wypełniony auro patriotyzmu.

Będę mógł za to opowiadać wnukom, jak Łódź była wówczas stolicą kraju, przepelniona warszawianami, czekającymi w sąsiednim mieście, aż w Warszawie staną jakieś domy.

W naszej klasie była połowa warszawiaków i połowa łodzian. Obie grupy obrzucały się ścierkami do tablicy, jeśli to była lekcja, a kulkami śnieżnymi, jeśli to była przerwa (i zima). Antagonizm trwał całe la-

Muszę wyznać, że więź emocjonalna z miastem jest uczuciem, które niewątpliwie żywie, ale którego rozumowa afirmacja może nastroić trudności. Człowiek staje wobec całej hierarchii pojęć, wobec których obojętny jest etycznie i ideowo do poczucia solidaryzmu. A więc czują się solidarni z ludzkością, ale z obozem socjalizmu w szczególności, w tym znów z Polską i Polakami w szczególności, ale dalsza „szczegółowość” obejmuje Łódź. Dalej idzie dzielnica, ulica (Piotrkowska), dom, wreszcie rodzina czyli mieszkanie. Nie wiem z kim mam być bardziej solidarny: z Łodzią, rodziną czy ludzkością? Nie wiem też, czy uczucia człowieka mogą być tak bardzo pojemne, iż wszelkie ich stopniowanie jest pozbawione sensu. I czy nie ma jakiejś kategorii ludzkiej zbiorowości, którą można uznać za przypadkową, użytkową, nie posiadającą alegorycznych właściwości.



ta. Obie grupy nieomal nie utrzymywały ze sobą stosunków towarzyskich. Ściąganie, podpowiadanie i inne szkolne usługi nie przebiegały w atmosferze panuczniowskiej solidarności, lecz świadczono były wedle zasady „swoi — swoim”. Warszawiacy odnosili się do nas z wyższością. Podkreślali tymczasowość swego w Łodzi pobytu, który jest im nieprzyjemny, my zaś wypisywaliśmy na ścianach hasła, których precedens historyczny zawarty był w wezwaniu „Ameryka dla Amerykanów” itp.

Ludzkość, socjalizm, Polska — są to pojęcia, wobec których istnienie jakiegos naszego stosunku ma niewątpliwie sens uzasadniony teoretycznie i praktycznie. Istnienie więzi w tych płaszczyznach ma istotne konsekwencje dla naszego życia i wyborów, których w nim dokonujemy.

Ale miasto... Nie tak wiele znów w życiu człowieka zmienia fakt, że mieszka w Łodzi a nie w Kielcach.

Jeśliby szukać istotnych uzasadnień dla lokalnych patriotyzmów odnoszących się do miasta, dzielnicy i ulicy, z którymi naszą więź wykreślał zazwyczaj nie świadomy wybór, lecz przypadek — trzeba chyba sięgnąć do następującego argumentu.

Łódź, jej dzielnica i ulica są naturalną sferą wyznaczającą nasze działanie. Możemy zmienić coś w mieście, w swojej dzielnicy i domu, w zakładzie pracy stojącym w tym mieście, w społecznej organizacji w nim działającej. Działanie człowieka, ta najistotniejsza część jego życia ograniczona jest nie tylko w czasie, lecz również w przestrzeni. Dla większości praktycznie ową granicę wyznaczają miejskie rogatki. Signale do przykładu choćby komieznego.

W ciągu kilku pierwszych powojennych lat warszawiacy istotnie odpłynęli do swego miasta, a w latach następnych poszli za nim... łodzianie wbrew lansowanemu przez się na szkolnych tablicach hasłu „Łódź dla łodzian”, Niewielu kolegów z mojej klasy mieszka po dziś dzień w Łodzi.

Dziwne są powojenne losy Łodzi. Kiedy inne miasta nabierały świetności, rozwijały się, Łódź długo przeżywała regres. Drugie w Polsce miasto przyćmiewają bogate Katowice i Poznań, wielkomiejski Wrocław, ruchliwe Trójmiasto, elegancki Kraków. Ciekawe jednak, że dopiero przełamanie tego regresu w ostatnich latach, pozytywne zmiany w Łodzi, nowe dzielnice, wielkie plany rozbudowy — wyzwoliły w pełni łódzkie kompleksy prowincjonalizmu i mniejszej wartości.

Pan Kowalski z Wólczańskiej działał w tym kierunku, żeby było czysto. W sferze jego możliwości nie leży sprawianie, żeby świat był czysty, Europa lub Polska. Natomiast poprzez udział w odpowiednich lokalnych formach propagowania czystości może on wpływać na oczyszczenie Łodzi, jej dzielnicy, ulicy, czy domu. I pan Kowalski ma sensowną świadomość, że skoro los sprawi, że jest on krawcem a nie Sekretarzem Generalnym ONZ — w ten sposób sprawa on, żeby świat był czystszy.

Łódź — to jego warsztat pracy, obszar codziennego poruszania się, obszar wizualnie obejmowalny. Mnie mam, że są to konkrety usprawniające owe lokalne patriotyzmy mające siłę zmieniania świata, tworzące stosunek emocjonalny do sfery człowieczego działania, do bezpośredniego pola życia i pracy Kowalskich.

15 lat temu Łódź — stary już wówczas piernik — urodziła się na nowo. W licznych tortach palą jej świeczki. Świeczki — rzeczy nabożne. Chętniej uczęzę ją po swojemu, Toastem. Niewzroszonym. Za to rzetelnie wypitym.

BELFER

Mało kto wie, że drugi prezydent niemieckiej republiki weimarskiej, Paul von Hindenburg zmarł na terenie dzisiejszego województwa olsztyńskiego w swoich dobrach rycerskich („Rittergut”) pod Księżycami w powiecie ławskim.

Dziś w dawnym Neudeck, zwanym przez okoliczną ludność Neglinem, znajduje się PGR Ogrodzieniec. Na niewielkim pagórku w starym parku bujne chwasty i krzewy coraz bardziej zarastają ruiny okazałego w swoim czasie budynku zwanego trochę na wyrost zamkiem.

W PGR Ogrodzieniec pracuje dziś w chlewie Jan Murawski z Lisnowa pod Grudziądem. Przed wojną był stangerem lisnowskiego dziedzica, pana Schulmanna. Pamięta on siedzibę Hindenburga, gdyż kilka razy przywoził tu przez granicę swojego pana i jego rodzinę z racji różnych „Geburts-tagów” czy też innych uroczystości rodzinnych.

Jan Murawski chwali się, że czterdzieści kilka kilometrów — odległość z Lisnowa do Neglina — przejeżdżał przed wojną w godzinę. Niestety, poza tym chętnym szczegółem niewiele zostało w jego pamięci. Właściwie tylko jakieś ogólne wrażenie wielkich wspaniałości, na które patrzył z wysokości swego konia, nie biorąc w nich żadnego udziału.

Znając niemiecki dowodził się czasem od miejscowej służby takich czy innych szczegółów z życia wielmożnych państwa, ale zapamiętał sobie jedynie to, że

## „HINDENBURG BYŁ DOBRYM CZŁOWIEKIEM”

Jeśli bowiem na przedchadze w pobliższym, przylegającym do parku lesie spotkał kobiety zbierające jagody lub grzyby — dawał im po pięć marek, aby sobie kupiły stoniny na obiad.

Nie widzę powodu, aby nie wierzyć Janowi Murawskiemu. To nawet bardzo prawdopodobne, że stary feldmarszałek rozdawał pięćmarmarkówki biednym kobietom. 20 września 1933 roku starosta suski (dziś dawny powiat suski) nosił miano ławskiego) niejaki pan Kleinte, wydał polecenie wykonawcze do decyzji pruskiego ministra finansów, która zwalniała prezydenta Rzeszy niemieckiej Paula von Benckendorff und von Hindenburg od płacenia wszelkich podatków z dóbr rycerskich Neudeck, obejmujących kilka folwarków i znaczną połać lasu pod Prabutami. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że jedynie folwark Neudeck dzisiejszy PGR Ogrodzieniec — miał 447 ha powierzchni, łatwo wyobrazimy sobie sumy, jakie pozostały w kieszeni szcudrego pana...

Tu w polskiej ziemi w ogrodzienickim pegeerze leży na zaniedbanym cmentarzystku kilka pokoleń dumnych junkrów. Brak tylko największego z rodu — „starszego, dobrego pana”. Jego zwłoki spoczęły w mauzoleum Tannenbergdenkmal — pomnik na cześć bitwy pod Tannenbergiem.

Historycy niemieccy, znani ze swej pedanterii, nazywają tę bitwę „drugą bitwą pod Tannenbergiem”. A pierwsza? — spytaście.

## PIERWSZA BITWA POD TANNENBERGIEM

rozegrała się w 1410 roku i jest nazywana przez Polaków bitwą pod Grunwaldem. Bo Tannenberg to polski Stebark jedna ze wsi na pobojuwisku grunwaldzkim.

Przypadek zdarzył, że w tym samym rejonie — na terenie powiatu ostródzkiego, nidzickiego, szczecińskiego — toczyła się czterdzieści

pięć lat temu, w 1914 roku, wielka bitwa z armią carskiego generała Samsonowa. Można ją było nazwać bitwą pod Olsztynkiem, gdzie toczyły się najbardziej zacęte walki, czy też bitwą pod Wiebarkiem, gdzie doszło do okrążenia wojsk rosyjskich — historycy niemieccy woleli jednak nazwać ją drugą bitwą pod Tannenbergiem — rewanżem wziętym na Słowiańszczyźnie za polski Grunwald.

Po wygraniu dwu bitew na terenie Mazur von Hindenburg został dowódcą niemieckiego frontu wschodniego, w 1918 roku cesarz Wilhelm II mianował go szefem sztabu generalnego.

W listopadzie 1918 roku cesarz musiał odejść, pozostał jednak jego ludzkie, pozostał mit pruskiego militarysty. Osobieniem tego mitu był między innymi feldmarszałek von Hindenburg.

## EDWARD MARTUSZEWSKI

# Na gruzach rosną mity

Bardzo ciekawym zjawiskiem historycznym był kontrdąns polityczny, jaki rozegrał się w kilka lat po traktacie wersalskim w republiki weimarskiej. Centralną jego figurą stał się człowiek, który rzekomo pomógł klęskę grunwaldzką. Rzekomo — łatwo bowiem udowodnić, iż „druga bitwa pod Tannenbergiem” została przegrana na

znanego ze swych monarchistyczno-konserwatywnych przekonań Hindenburga.

Między innymi dzięki poparciu jednej z pomniejszych wówczas partii — hitlerowców, zwących się wówczas ludowcami („Völkische”), dopiero w drugiej turze wyborów zwycięzca generała Samsonowa uzyskał potrzebną ilość głosów. Nie był to więc triumf, ale mimo to mit rósł.

Po siedmiu latach znowu wystawiono kandydaturę Hindenburga na stanowisko prezydenta. Ale w 1932 roku tylko kontrkandydat lewicy pozostał ten sam — hamburski robotnik Ernst Thälmann. Drugim kontrkandydatem Hindenburga został przywódca brunatnych kosał Adolf Hitler, ten sam, który 7 lat temu kazał swoim zwolennikom wybierać Hindenburga...

Dla feldmarszałka, wychowanka starej, pruskiej kasty

burgu. Przeciwnie — robił wszystko, aby tylko przypodobać się „staremu panu”, aby jeszcze bardziej ugruntować jego narodową świętość.

Właśnie po dojściu Hitlera do władzy, jeszcze za życia Hindenburga, zaczęto budować Tannenbergdenkmal. Warto przypomnieć, że w 1939 roku niemiecka koncentracja wojsk w Prusach Wschodnich odbywała się jako... przygotowania do manewrów ku czci zwycięstwa pod Tannenbergiem. Właśnie po dojściu Hitlera do władzy darowano prezydentowi dwa dalsze folwarki i las pod Prabutami, zwalniając go zarazem od płacenia podatków.

Nie istnieje już Tannenbergdenkmal, w zapuszczonym pegeerowskim parku chwasty i krzewy zarastają gruzy zamku a z pałacu w Łęgowie zostały tylko ogrzki frontonu. W Ogrodzieniu, Księżycach Łęgowie żyje dziś tylko parę osób pamiętających Hindenburga. Ale i wśród tych nielicznych nie ma zgody — jedni uważają go za „dobrego pana”, drudzy mówią, że nie wiedzą jak był: „Widziałem go, panie, parę razy, ale na zamku nigdy nie byłem, kto by tam zwykłego dróżnika wpuścił!”

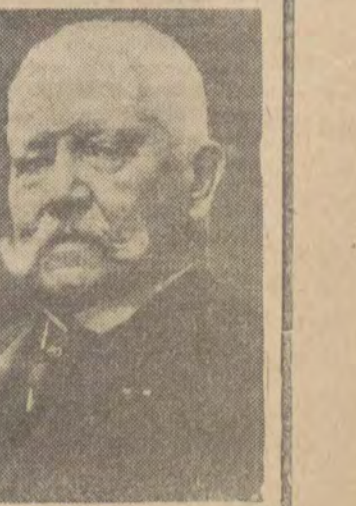
W Niemczech zachodnich jednak hindenburgowski

## MIT PROPAGANDOWY JESZCZE NIE UMARŁ

jeszcze jest komus potrzebny. Znowu wyolbrzymia się zwycięstwo nad Samsonowem w błogiej nadziei woj-skowego i politycznego odwetu.

W prasie zachodnio-niemieckiej z racji 25 rocznicy śmierci Hindenburga toczyły się ostatno spory na temat jego roli w dziejach Niemiec.

Znów pełno było okrzyków, zachwytu, ckiwych wspomnień o „Parade Marsch i „Panzerdivisionen”. Ale, panowie, z Tannenbergdenkmal pozostały gruzy. Tylko gruzy. Jak długo na gruzach mogą rosnąć mity?...



Marszałek Paul von Hindenburg, człowiek, któremu wzmówiono, że był wielki.

## MIT PROPAGANDOWY

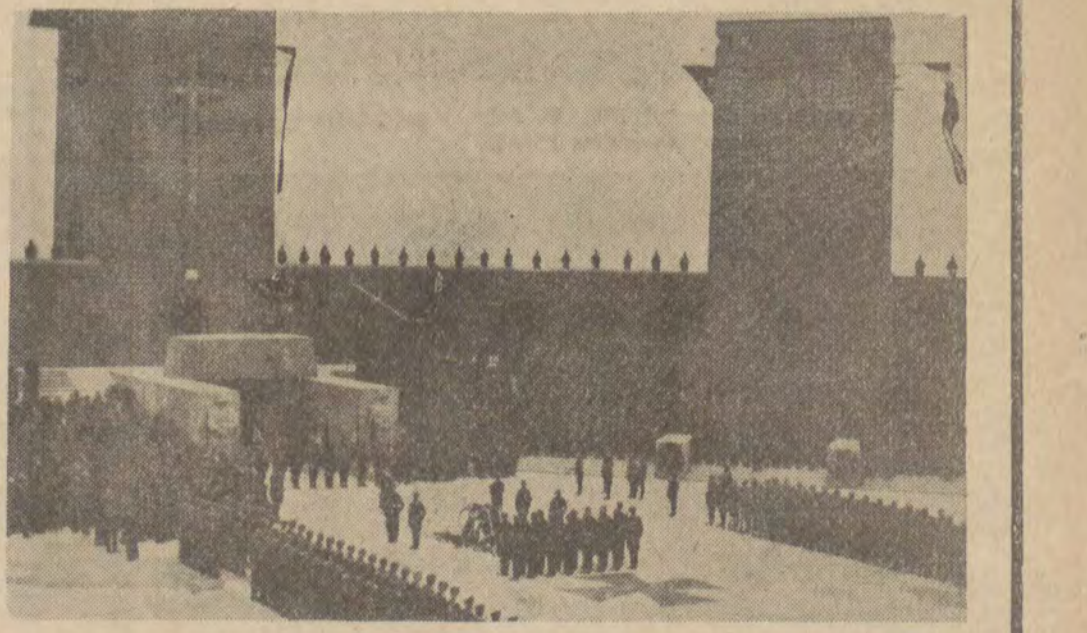
Podczas gdy bitwa w 1410 roku uratowała byt dwu narodów — polskiego i litewskiego — bitwa w 1914 roku uratowała tylko jedną z prowincji Rzeszy niemieckiej przed prawdopodobnie przejściową okupacją. Jeśli w bitwie grunwaldzkiej została złamana potęga militarna zakonu krzyżackiego, to zwycięstwo Hindenburga nad Samsonowem było tylko jedną z wielu bitew pierwszej wojny światowej. I na pewno nie było bitwą decydującą o wyniku wojny.

Nacjonalizm niemiecki do ciężkim traktacie wersalskim potrzebował mitów ku pocieszeniu zboliałych serc. Zrobiono więc ze zwycięstwa Hindenburga nad Samsonowem wielki mit propagandowo-militarny. W ten sposób jednocześnie zaczął powstawać i rozwijał się mit opatrnościowego człowieka, jakim miał być „stary pan”.

Gdy w 1925 roku naród niemiecki miał w plebiscytcie wybrać sobie prezydenta — prawica polityczna postanowiła wysunąć kandydaturę

Zwycięstwo Hindenburga było jednak nie tylko „dla niego gorzkie. Było ono po prostu żłudne. Nieudany kandydat na stanowisko prezydenta, mając w parlamencie największą ilość posłów, nie rezygnował z władzy. Zarządzał od swego niedawnego przeciwnika i zwycięzcy z plebiscytcie... mianowania go kanclerzem, Hindenburg udzielił mu w sierpniu 1932 roku ostrej i zdecydowanej odmowy. Minęło jednak kilka miesięcy, nadeszła zima, wraz z nią rosła liczba bezrobotnych. W wyniku intryg politycznych i natury czywości Hitlera, w wyniku strachu kapitalistów przed rewolucyjnymi nastrojami mas robotniczych — 30 stycznia 1933 roku prezydent Hindenburg zgodził się powierzyć Adolfowi Hitlerowi urząd kanclerski.

Dorwawszy się do władzy Hitler nie pamiętał feldmarszałkowi jego wstretów. Nie burzył mitu o Hindenburgu.



Tannenbergdenkmal 2 października 1935 r. Uroczyste złożenie zwłok Hindenburga

w mauzoleum ku czci „odwetu na Słowiańszczyźnie”. Prawdziwa świętość pięcset

lat starszego Grunwaldu opierała się mitologicznej konkurencji.

Dalszy ciąg — Operacji „Lew Morski” ze względu na technicznych zamieścimy w następnym numerze.

Dalszy ciąg  
ze str. 1

rowi, bo kurtka była własnością Trzeciej Rzeszy, i ruszył pieszo do Łodzi.

Plonąca mała fabryka na Radogoszczu. Płomienie szarzały o świącie. Człowiek na zwyżce strzelał.

Do dużej fabryki przy Kątach przyszedł oddział Volkssturmu. Zbudzili palacza, „Napal w kotłowni — powiedzieli — żeby w stołówce było ciepło”. Mieli siedzieć w stołówce całą noc, bronić fabryki przed Resjanami. Było ich dziesięciu. „Nie jadłem kolacji” — powiedział palacz. Dali mu chleba, słoniny i kawy. „Pal”. Napalił. Około trzeciej w nocy poszedł na górę, do stołówki, żeby sprawdzić, czy mają ciepło. Na podłodze wałaly się porzucone karabiny. Nie było żywego ducha.

Mała fabryka paliła się, palili się ludzie. Wylamywali zwęglone drzwi, biegli w dół, do muru, do wolności. Poparzeni, w płonących ubraniach. Człowiek na zwyżce strzelał. Jeden mężczyzna wszedł po schodach na górę, na samą górę, tam pod dachem stał zbiornik stalowy, pełen wody. Mężczyzna wszedł do zbiornika, zanurzył się cały, tylko twarz trzymał nad powierzchnią. Rękami ścisnął kurczowo brzeg zbiornika, żeby nie utonął. Woda była już ciepła.

Bomby spadły na dużą fabrykę w piątek. Małych nikt nie policzył, ale dużych, to spadło cztery. Trzy zniszczyły magazyn, pralnię i salę przędzalni, a czwarta zaryła się w ziemię na fabrycznym terenie, i nie wybuchła. Leży tam do dziś.

Dziewiętnastego stycznia Niemców nie było już w mieście. Nasi jeszcze nie przyszli. Niedobitki w mundurach pytały o drogę do Reichu.

— A skąd ja mogę wiedzieć jak się tam do was idzie? Którędy przysłiszcie, tędy wracajcie — powiedział Bolesław Ornow.

Wyszedł z domu zobaczyć, co się dzieje w fabryce. Teren opustoszał. Tylko na mostku przed czesalnią zobaczył Ornow Niemca Wajsa. Wajs był jednym z ideologów Trzeciej Rzeszy.

Nie groził, nie krzyczał, lubił dyskutować z Polakami. Był pewien swego. Mówił: Jak oko oka nie zobaczy, tak wy Polski nie zobaczycie.

— No i co, Wajs — powiedział Ornow — zobaczyły się oczy? A może wszyscyśmy zeza dostali?

Mała fabryka na Radogoszczu dogorywała. Człowiek na zwyżce strzelał jeszcze. Człowiek w zbiorniku zaciskał ręce na gorącym żelazie. Woda wrzała.

Z drugiej strony szosy, na stawach pracowali ludzie. Wycinali lód, układali w sterty. Była noc na dziewiętnasty dzień stycznia. Poprzez trzask karabinu na zwyżce dobiegł warkot samolotów. Ludzie z lodu rzucili się do ucieczki. „Stójcie! — krzyczał jeden. — Stójcie! Tu najbezpieczniej. Jak bomba zle-

ci, to wpadnie do wody. Stójcie! Ale oni pobiegli do domu. Nie zleciała ani jedna bomba. Somcicy poleciały dalej. Ludzie wrócili na lód, pracowali do rana.

Zamknięte strzały w małej fabryce po drugiej stronie szosy. Zgasły płomienie. Woń spalenizny pokrywała zie-

nieśli go do domu, nasmarowali maścią, nakarmili.

Potem pōzi na tamtą stronę, oglądając spaloną fabrykę. Zobaczyli spalonych ludzi, nagich, czarnych, bezwłosych. Patrzyli cały dzień.

Wieczorem ten jeden żywy założył darowane chodaki i poszedł. „Dokąd idziesz?” —

rabiny, zostawione przez Werkschutz, postawili się na warcie. Ornow, Podgórski i Szkudlarek umówili się na drugi dzień. Dwudziestego stycznia zgłosili się do Dzielnicowej Komórki Partii. Otrzymali prawo odpowiedzialności za tę swoją fabrykę. Związek Zawodowy

Ale jakaż to była praca! Nie było ani jednego drzwi, ani jednego okna. Ogródzenie rozbite. Ale nikt nie czekał na materialną zachętę. Przede wszystkim należało odbudować pralnię, to był warunek rozpoczęcia produkcji. Stary majster od napraw, Koblicki, powiada:

Kierownikiem napraw został majster Berger. To nie była funkcja nadana. Nikt się nie zastanawiał nad mianowaniem tego, czy owego zwierzchnikiem. Decydowała inicjatywa, energia, pomysłowość. Trzeba było zacząć wszystko od początku, posługiwać się podstawowymi, prymitywnymi narzędziami: młotkiem, pilką, obcęgami.

Wkrótce naprawiono dach, maszyny przestały rdzewieć. Ruszyła produkcja. Ludzie stali przy maszynach w płaszczach, zgrabiłymi od zimna rękami robili, znowu dla Polski. Nie dostawali pieniędzy, i nie mówili o pieniądzach. Chcieli żyć. Chcieli pracować. Byli wolni. Pierwsze wypłaty stanowiła żywność, mąka, mięso — a także i towar, który sami wyprodukowali. Towar trzeba było sprzedawać na „czarnym rynku”.

Bardzo powoli normowała się sytuacja.

A ten człowiek, który pracował na lodzie, naprzeciw małej, płonącej fabryki, i krzychał na uciekających, żeby zostali — ten człowiek nazywa się Łuczyński. Jest dzisiaj przewodniczącym Rady Zakładowej w Zakładach Przemysłu Wełnianego imienia Gwardii Ludowej.

3.

No i cóż, moi mili, starsi o wiek, o życie całe, o wojnę? No i cóż, dzisiejsi dwudziestoletni, wolni „wściekli”?

To wszystko na pewno wyglądało inaczej. To wszystko na pewno domaga się innej pamięci. Może to wszystko domaga się pióra genialnego pisarza, a może... może to wszystko należało po prostu zapomnieć?

Gdzie są ci bohaterowie? — zażyła rocznik czterdziestki.

Nie ma bohaterów, moi drodzy. Nie ma bohaterstwa, moi drodzy. Są ludzie bardziej prości, są sprawy bardziej proste, niż się nam wszystkim wydaje.

Tamten człowiek, który w małej fabryce wszedł do zbiornika z wodą wybrał przecież śmierć straszniejszą, niż inni. Ale on wierzył, że wybiera życie. I dobrze wierzył.

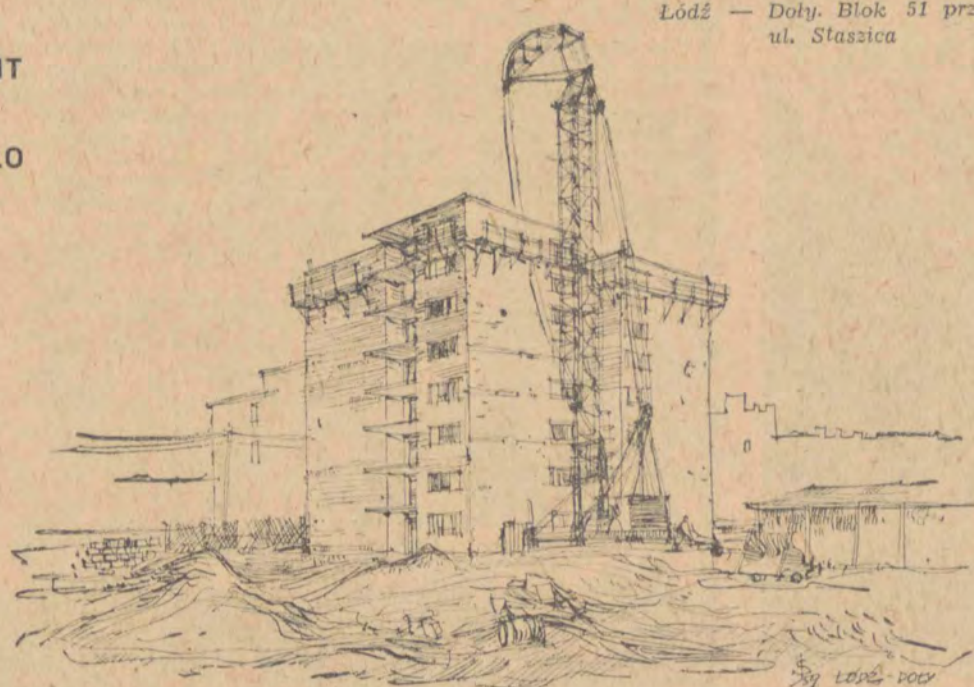
Tamci ludzie, którzy w złych, ementarnych warunkach puszczali w ruch wielkiennicze maszyny, wierzyli w sens swoich czynów. Nie używali wielkich słów. Rzecz w tym, że ludzie nie zawsze zdają sobie sprawę z rozmiarów rzeczy, których dokonują. Może to dobrze, może źle.

Ale chyba dobrze.

Nie wątpię, że wy, moi starsi o wojnę, bylibyście zdolni przeżyć to samo jeszcze raz. Jeszcze dziesięć razy. Życie jest uparte. Ale darujmy to sobie. Darujmy dwudziestolatkom, którzy tego nie wiedzą. Przecież na pewno chcą żyć.

TEKST  
ANDRZEJ BRYCHT  
RYSUNKI  
JERZY SAMUJŁO

OPOWIĘŚĆ

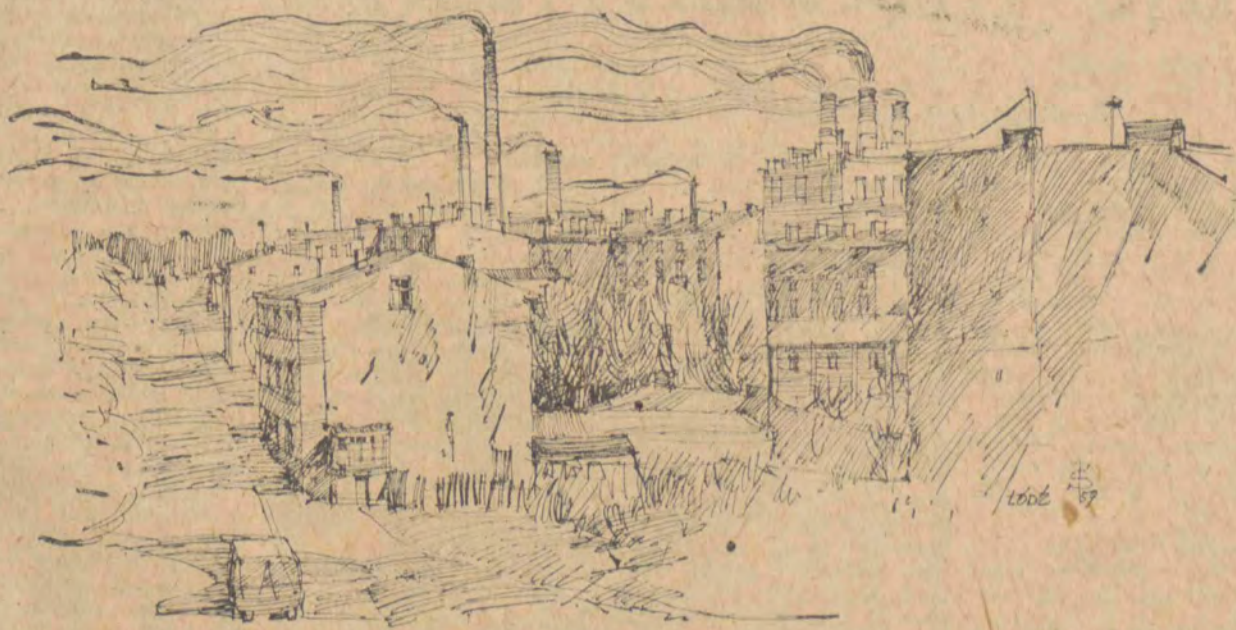


Łódź — Dół. Blok 51 przy ul. Staszica

Z

tamtego  
wieku

Rys. obok — ulica Andrzej. Rysunek u dołu, ogólny widok Łodzi



mieć. Ludzie stali na lodzie, patrzyli na tamtą stronę, którą nagle ogarnęła cisza. Wtedy brama uchyliła się, wyszedł stamtąd człowiek. Tylko jeden człowiek.

Slaniając się szedł wolno w ich stronę. Ludzie patrzyli w milczeniu. Szedł wolno jakby nie zbliżał się wcale. A jednak był coraz bliżej. W spalonym ubraniu, mokrym, które teraz uszytywał mróz. Człowiek wszedł bosy na lód, nogi miał czarne od sparzeń. Upadł na lód. Za-

spytał. „Na Płock” — powleciał. Patrzyli jak ginie powoli w mroku.

2.

W dużej fabryce na Kątach Bolesław Ornow spotkał Szkudlarkę. W kantorku siedział Podgórski. Odebrali od trzech pozostałych Niemców klucze od kasy głównej. W kasie znaleźli paręset pakietów. Wrócił Józef Grochowina. Przyszło jeszcze pięćciu. Założyli na plecy ka-

poradził zwołać zebranie załogi. Zimno było, wszystko rozbite. Nie było gdzie zebrania odbyć. Spotkali się więc w świetlicy zakładów Geyera. Nie było dużo gadania. Dyrektorem Zakładów imienia Gwardii Ludowej został Szkudlarek, Ornow — przewodniczącym Rady Zakładowej. Kierownikiem do spraw pracy i płacy został Podgórski. Dla ochrony zakładu po tygodniu przydzielono polskich żołnierzy. Ludzie stanęli do pracy.

— Po pierwszej wojnie światowej ten zakład odbudowywałem, to i po drugiej wojnie światowej odbuduję. Wojny światowe wojnami, a żyć trzeba. Żyć, to znaczy pracować.

Koblicki pracował tu przeszło dwadzieścia lat. Przez milicję ściągnął kilku Niemców, kilku folksdojczów, paru kolegów do pomocy wziął i do roboty. Kosz z ogniem ustawił, okna dyktą zabił, żeby nie wiało drzwi wstawił, posadzki kładł.



Zdjęcia: E. KUDAJ

### KOŚC NIEZGODY

Naprzeciwko Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Dzierżyńskiego, opodal klubu sportowego „Tęcza” — mieści się świetlica fabryczna. Lokal jest obszerny, dwusalowy, ze stosunkowo niewielką ilością stolików i podwyższeniem dla orkiestry. Światła neonowe, przysłonięte kolorowymi bibułkami. Tu mieści się oficjalne centrum życia kulturalnego zakładu i jak się okazuje, tutejsza kość niezgody. Kość zaś niezgody nazywa się „Pimpek”.

O „Pimpku” dowiedziałam się zaraz na wstępie.

Zajmuje świetlicę fabryczną trzy razy w tygodniu — w środy, soboty i niedziele. Klub-kawiarnia powstała przed trzema tygodniami pod firmą ZMS. Nie wszyscy jednak są z „Pimpka” zadowoleni. Najpoważniejsze zastrzeżenia ma kierownik świetlicy W. Zapewne sprawa klubu jest dla niego sprawą dużej wagi, gdyż zupełnie nie trzeba go zachęcać do wynurzeń. Młodzież — twierdzi — nie chce uzgadniać z nim planów, uważa że jest jej wrogiem, chociaż to nieprawda. Właśnie młodzież pastawiona

### ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

## „PIMPEK” i co dalej?

jest do niego nieprzychylnie. On, kierownik świetlicy, chce im tylko pomóc, chce ich dopilnować. Młodzież nie można przecież zostawić zupełnie swobody działania, potrzebne jest jej kierownictwo i kontrola. Z młodzieżą zetempowską pracowało się dużo lepiej. Dlaczego? Była posłuszniejsza, bardziej zdyscyplinowana. Założyli teatr amatorski, dałi przedstawienia, ludziom bardzo się to podobało. Po tem wszystko się skończyło. Ważniejsze okazały się sprawy szkolenia politycznego i ideologicznego...

Teraz w świetlicy są szachy, bilard i karty, jest także telewizor (podobno przeważnie w naprawie). Zespoły amatorskie? Nie „dają” na instruktorów...

Niedawno przygotowywano Dzień Nauczyciela — mówi W. — Dziewczynka ze szkoły przyzakładowej śpiewała przez nos na próbie. Zwróciłem jej uwagę. Jeden z chłopów chciał koniecznie śpiewać po włosku. Pytam się go: czy znasz włoski, mój chłopcze? Nie? To śpiewaj jednak po polsku. I poobrażali się za to, że ich krytykuje. Nauczycielka nie stanie po mojej stronie, bo skończyłem tylko siedem klas”.

To sgmó powtórzył na zebraniu partyjnym, którego tematem była „praca kulturalna” w fabryce. Wtedy to antagonizmy wyszły na powierzchnię. Po krótkim sprawozdaniu z działalności świetlicy, a raczej z braku działalności, obiektem zainteresowania stał się „Pimpek”. Jeszcze poprzedniego dnia pierwszy sekretarz powiedział krótko: „Pimpka” zlikwidujemy.

Padają zarzuty. Przede wszystkim, dlaczego ma być otwarty trzy razy w tygodniu? Pracownicy świetlicy, W. i T. protestują. Nie mogą bowiem zaniedbać swoich domów i rodzin dlatego, że młodzież chce się bawić. Zresztą po takiej zabawie młody chłopiec czy dziewczyna prawdopodobnie nie wstanie punktualnie do pracy. Do klubu wpuszcza się bardzo młode dziewczęta. Korzystają z tego żeby palić papierosy. Zwróciłem się do nich z uwagą, to się obraża.

Starsza pracownica świetlicy jest oburzona: — Mówię tak: dziecko, to nie dla ciebie „Ja nie jestem dzieckiem, ja jestem pani”. Albo czy czerwone, przyćmione światło stwarza nastrój odpowiedni dla klubu? Młodzież, zamiast kulturalnie usiąść przy stoliku, wypić kawę i od czasu do czasu zatańczyć jakiś „kawalek” stoi pod ścianami. Orkiestra gra rock and roll. Dziewczeta tańczą tak, że wszystko widać aż do połowy. Komu sprawia przyjemność taki widok? Siadają chłopcom na kolanach, całują się przy ludziach... Słoję ja kiedyś i cierpliwie czekam. Ona mu usiadła na kolanach i całują się. Wreszcie mówię: czy długo jeszcze? Uwagi nie pozwolą sobie zwrócić. Mówią: „My jesteśmy młodzi, nam wszystko wolno, nie wtrącajcie się do nas”. Chłopcy w kieszeniach przynoszą butelki wina i piła je w toalecie. Nic dziwnego, że na kawę im potem nie starcza. A po jednym z wieczorków znalazłono opróżnione butelki po winie damskiej bielizny”.

Przedstawiciele ZMS protestują. „Nieprawda, wcale to tak nie wygląda”. Oskarżają starszych o oszczerstwo i złośliwość. Dlaczego nikt z nich nigdy nie przyjdzie do klubu? Przecież w dru-



giej sali nie ma czerwonego światła, można w coś po grać. Przecież „Pimpek” dopiero powstał, a już taka nagonka. Nie zwrócił się przecież z prośbą o pomoc finansowa ani do POP, ani do rady zakładowej. A co zrobił przez tyle lat kierownik świetlicy?

### KRAM Z KULTURA

Sprawa „Pimpka” jest wyraźnie okazją do wyładowania wzajemnych niechęci. Rock and roll i czerwone światło urasta do rangi symptomów moralnej zgnilizny. I kiedy ktoś rzuca uwagę: „Dlaczego mówicie tylko o tym, przecież klub to nie wszystko, są jeszcze inne, ważniejsze sprawy” nikt nie reaguje. Oczywiście

— że „Pimpek”, to nie jedynie przejaw dotychczasowej troski o życie kulturalne robotników. Jest jeszcze kurs ateistyczny, są pogadanki o świadomym macierzyństwie wygłaszane przez głosnik, żeby wszyscy słyszeli. Odczyty? Nie, to nie ma powodzenia. Dyrektor chciał kiedyś podzielić się z załogą swoimi wrażeniami z Brukseli, ale przyszła tylko jedna osoba. Do czego służy zatem ogromna sala teatralna?

Odbывают się w niej akademie, zebrania, szkolenia itd. Wyjątkowo posłużyła też do tzw. spotkania z zespołem Teatru Nowego (który z okazji swojego dziesięciolecia urządził raid po łódzkich fabrykach) z załogą. Sala

# Władysław Rymkiewicz ROMANS KROLEWSKI

### Powieść historyczna

#### STRESZCZENIE

Akcja powieści rozgrywa się w wieku XVII, na dworze króla Jana Kazimierza w pałacach magnackich ówczesnej Polski, Jan Kazimierz, zakochany w żonie magnata Radziejowskiego, składa jej właśnie — pod nieobecność męża — potajemną wizytę.

Sciskając palcami łokieć Juna Kazimierza ochmistrzyni wpełchnęła z pasję jego królewską mość do ławki. Strwożony zajadł złością babską, bał się poruszyć. Odechnął z ulgą, gdy ochmistrzyni zniknęła z oczu pochłonięta przez ciemność. Kłęcząc na pochylej desce wewnątrz ławki przysunął się na kolanach do podkancierzyny, również kłęczącej, zapońskiej w medytacji, dotykającej czołem pulpitu. — Niech będzie pochwalony! — powiedział niegłośno i zdjął pół-

maskę. Pochyliwszy się wycisnął pocałunek na leżącej na pulpicie białej dłoni. Elżbieta jak ukąszona cofnęła rękę. Urażony, nie ponowił próby. Czy ta miłość była jak motyl, którego życie trwa jeden dzień? — rozmyślał z gniewem i smutkiem. Lecz w imię czego znosił pogardę i obojętność? Czy nie lepiej odejść, ratując dumę i honor, zamiast błagać o wyzbraną miłość dawkuwaną z litości jak jałmużnę?

Wówczas odezwał się Każkojan: „Jeszcze tylko ten jeden raz! Ostatni raz!” Jan Kazimierz zapatrzył się w rubinową lampkę oliwną wiszącą przed ołtarzem z płaskorzeźbą Szopki Betlejemskiej ze świętymi w polskich delach i ferrezjach.

W ławce było ciasno, twarzo i niewygodnie. Kauty pulpitu, kłęcznika i siedziska wierały ciało, wierały się do kości. Ziąb z kępcy przenikał do rzeźnia paclerzowego. Kiedy skończy się mordęga? Każkojan wzdychał bezwstydnie: „Byle tylko nie skończyło się na paclerzach!” Jan Kazimierz nie zdążył zapobiec bluźnierstwu, zawsze spóźniał się o ułamek minuty z powściągnięciem szydery. Nie zdążył rów-

niez zgromić Każkojana, gdyż Elżbieta wstała i wyszła z ławki.

Szedł za smugą pachnidła niewieścich, barwicki i oleju fiołkowego, aż zatrzymali się w komnacie sypialnej, dusznej od gorąca, które biło z rozżarzonego do czerwoności stosu polan w komnie z marmurowymi okładzinami, dusznej od roztopionego wosku świec w trójramiennych lichtarzach. Podkancierzyna dygnęła ceremonialnie. Długi jedwabny sarafan w papuzim kolorze rozchylił się odsłaniając brabanckie koronki i hafty zapiętej pod szyją koszuli.

Jan Kazimierz podszedł sztywno i niezręcznie, jak gdyby coś krepowało jego ruchy i sztywno, i niezręcznie złożył na skroni pani Elżbiety pocałunek, i zalał skotał sznureczkiem szwarcowanych wąsów jej czoła.

Pani Elżbieta cofnęła się bojaźliwie. W głębi komnaty, w alkwie błysnął szkarłat, odwinętej kapy, biel labędzich pierzyn na rozścielonym łożu i czerwień podwiązanych złoconymi chwastami, atlasowych kotar przy kręconych spiralnie kolumnkach. „Ty drżysz, królu — zaśmiał się drwiąco Każkojan. — Drżysz jak młodzienszek, trzęsący się z

pożądania i niepewności przed tą rozkoszną chwilą, w której po raz pierwszy w życiu masz złączyć się z umiłowaną niewiastą?”

„W naszych poufelościach z Elżunią stoi coś na przeszkodzie — pomyślał król, jakby w odpowiedzi Każkojanowi. — Pomimo bliskości cielesnej nasze ruchy są niezręczne, nogi i ręce jak z lodu, który nie taje, chociaż oboje stoimy w płomieniach. Myślę, że największą przeszkodą między nami jest jej piękność i mój Majesta”.

„To nieprawda, królu! Oszukujesz się! Co innego was onieśmiela, co innego krepuje ruchy!”

„Oboje wyrosliśmy ponad miarę codzienności, ona jest najbogatszą i najpiękniejszą Polką, ja — królem wielkiego narodu”.

„Nawiasem to, co się rozgrywa między wami, nie jest na miarę waszych niezwykłych atrybutów. To jest nader pospolite”.

„Elżbieta jest poważna i głęboka”.

„Bogać tam! Pragnie ona tego samego, czego pragnie każda niewiasta, szezęcia i miłości, której ty nie jesteś zdolny jej dać!”

„Nietawna jest sztuka kochania”.

„Otoż to!.. Wzbudzić w

niewieście taką miłość, żeby umierała z rozkoszy i zatrąciła się w szeleństwie! Pamiętasz uczyl cię tego we Francji? Pamiętasz tamtą zakochaną Francuzkę, żonę starożożorey w Cisterone? W zachwyte całowała twe stopy, nogi, kolana”.

Król usiadł w fotelu i spoziernął na panią Elżbietę z jakimś fatalistycznym zrezygnowanym spokojem, z wiedzą człowieka zdecydowanego na wszystko, przekonanego, że inaczej być nie może, spoziernął na cudną

jęmość, córkę senatorskiego rodu Słuszków, potem dziewczkę magnackiej fortuny, marszałkową, która pochowała jednego męża i niebawem przez swój uwodzicielski powab i czar niewieści, przez szafirowe przepaściste oczy i dotki w policzkach doprowadziła do zguby drugiego męża, i wyprowadziła na manowce trzeciego męża, czynnego, miłośnika, króla, wciągając go w otchłań przepaścistych szafirowych oczu, w niebezpieczne powikłania i komplikacje, spoziernął wzdłuż jak gdyby za niewiastą w papuzim sarafanie swą przyszłość, ciemną, groźną, niepewną i skomplikowaną, i unosząc nieznacznie wargę ze sznureczkiem szwarcowanych wąsów uśmiechał się dziwnie uśmiechem, w którym było pożądanie i nienawiść i gorzyc, lecz w którym nie było miłości.

— Czy stało się co złego? — z bojaźliwym zaciekawieniem zapytała podkancierzyna i otuliła się ściśle sarafanem, cała w jedwabiach na podobieństwo poczwarki jedwabnika w oprzędzie.

Jan Kazimierz wstał i przybliżył się, sztywny i niezręczny.

Elżbieta Radziejowska cofnęła się trochę. — Nie, Jan Kazimierz pochylił się jak krótkowidz nad gotował-

nią, jakby sobie chciał coś wybrać z ułożonych porządkie srebrnych grzebieni, puzderek, flakonów z różaną wodą, miseczek z pudrem i barwickowymi płatkami. — Pomyślałby kto, że waćpani boisz się króla — powtórzył biorąc bez zastanowienia do ręki złote puzderko z misternie rzeźbionym wieczkiem.

— Nie! — jednak cofnęła się znów.

— Czy pani wiesz, co to jest estrapada?

— Nie wiem — odrzekła patrząc w bok.

— Torturę estrapady widziałem na południu Francji. Ustawiają tam maszt na podobieństwo szubienicy. Czy waćpani słucha? — zapytał odkładając puzderko.

Elżbieta Radziejowska ścisnęła głowę.

— Na maszt wciągają na sznurze skazańca ze związanymi z tyłu na plecach rękami. Waćpani słucha? — zapytał król z obraźliwym gestem i tonem. Z obwisła wzgardliwie wargą, śniady, ospowaty, o sztywnych ruchach, podszedł bliżej. Zawahała się i odsunęła się przegornie w bok.

— Nagle puszczają gwałtownie sznur i człowiek spada jak kamień — opowiadał Jan Kazimierz rwącym się i zgrzytliwym głosem.

Elżbieta Radziejowska wzdrgnęła się i ogarnęła ściślej jedwabiami sarafana.

— Jeżeli się nie zabił od pierwszego upadku — opowiadał z tłumioną pasją i okrucieństwem, wpatrując się badawczo w podkancierzynę i obserwując z napięciem, czy aluzja dotarła do jej świadomości. — Jeżeli się więc nie zabił, kat wciąż uwiązane go na sznurze delikwenta z pogruchotanymi kośćmi z powrotem na maszt. Jeszcze raz w górę i jeszcze raz w dół, o ziemię

wypełniona była w 1/3. Przed kurtynę wyszedł D. Maier i nieco zażenowanym głosem objaśnił widownię, kim była Barbara Radziwiłłówna. Potem S. Butrym wygłosił monolog Kmity. Przede mną siedział stary człowiek w ubraniu roboczym. Oparł głowę na poręcz krzesła, spał. Obudził się dopiero przy fragmencie „Kramu”, kiedy widzowie powtórli głośnym śmiechem archaiczne pantalony w ręku Panny Marianny. Wychodzili z mimami zawiedzionymi. Dlaczego byli bez strojów? — pytali.

Rada zakładowa sprzedaje miesięcznie przeciętnie ok. 100 biletów do teatru. Korzystają z nich najczęściej ludzie starsi. Stałych bywalców teatralnych nie stwierdza się. Niemłoda kobieta o zmęczonej twarzy opowiada swoje wrażenia z Teatru Nowego: „Dwa razy u nich byłam. Na tych piosenkach i na tej Komedii (tu chwila namysłu) Nieboskiej. Tamto było ładne, wesołe i przyjemnie posłuchać. Ale to drugie nie podobało mi się. Ponure i ciągle to samo w kółko. Biedna była ta kobieta, co tak płakała. Mąż ją rzucił i za taką pokraką poleciał, zupełnie jak w życiu”.

#### DAJĄ SIĘ NAMÓWIC...

Znacznie większą popularnością niż teatr cieszy się biblioteka, licząca 1.000 czytelników (25 proc. załogi). Książek jest 5 tys., z tym, że 20 proc. rusza się tylko przy remanencie. Mężczyźni czytają więcej (50 proc.) mimo, że kobiety stanowią większość załogi (75 proc.). Kobiety szczególnie młode dopytują się o Mniszkównę, Zarzycką i Court Mahlerową. Mają pretensje do bibliotekarki, że nie postara się o te książki. Mężczyźni najczęściej czytają powieści historyczne (Kraszewski, Sienkiewicz, Zeromski), obyczajowe polskie i kryminalne. Młodzi chłopcy rwą się przede wszystkim do kryminałów. Bibliotekarka niechętnie im je daje.

Wchodzi kolejno dwóch siedemnastolatków. Pytają o „Profesora Wilczurę”. Mężczyznę w średnim wieku wyraźnie fascynuje jaskrawa, czerwono-czarna okładka książki „Morderstwo”. — reszta tytułu z daleka niewidoczna.

Młoda bibliotekarka, Elżbieta Janczak pracuje tu od 4 lat. Umie rozmawiać ze swoimi czytelnikami, zna upodobania każdego z nich. Co podsuwa im zamiast upragnionej Mniszkówny? Rodziewiczównę (chętnie czyta ją), Orzeszkowa, Prusa. Czasem trudno jest namówić ludzi do czytania, ale za pierwszą książką zawsze idą następne. Z czasem zmieniają się upodobania. Pierwsza książka którą przeczytał jeden obecnie już stały czytelnik, nosiła tytuł: „Gdyby Hitler zwyciężył”. Są czytelnicy, których interesują tylko książki o tematyce związanej z ostatnią wojną. Wszyscy natomiast zgodnie unikają powieści współczesnych.

Z początku w sobie tylko właściwy sposób określają książki. Oddaje np. jeden z czytelników kilkutomową

powieść. Jak się podobała? — „Dobrze, takie o nawalancie”. Tytuł powieści: „Potop”. Inny prosi o książkę „objazdową” (podróżniczą).

Praca bibliotekarki ma swoje nieprzyjemne strony. Młodzi często są ordynarni. Woli jednak pracować wśród ludzi z produkcji, niż mieć do czynienia z inteligencją. Dlaczego? Ci ludzie nie obrażają się, kiedy podsuwa się im książki. Dają się namówić, przekonają, można kształtować ich upodobania i gusty. Trzeba tylko zrozumieć, czego oni w książkach szukają.

#### ŻYCIE MAŁŻENSKIE I POZAMAŁŻENSKIE

Proszą o porady prawne najczęściej w sprawach rozdowodowych i spadkowych (spadkowych, bo dużo robotników pochodzi ze wsi i prawie każdy z nich uważa, że mu się pare morgów należy). Rozwody? Nie są to sprawy sensacyjne, ale szare podobne do siebie. Owszem, kilka lat temu zdarzyło się, że mąż po przyjeździe do domu sadzał żonę na rozpalonym piecyku. Ale na ogół tylko

ciągle to samo: alkoholizm, złe traktowanie, zdrada. Przychodzi do domu pijany, bije. Nierzadko bywa, że przeprowadza się do innej kobiety, a swoją z dziećmi zostawia. Żona wnosi sprawę o rozwód: „Pieniądzy nie daje, bije, po co mi taki mąż”. Najczęściej rozwodzą się

(Dalszy ciąg na str. 10)



— powtarzał ostrym świszczącym głosem.

— Po co mi waszność pan to mówi? — z wyrazem obrzydzenia ściągnęła przyziemione palonym migdałem brwi.

— Bo ja sam właśnie tak się czuję, gdy jestem u wacpani.

Cofnęła się, więc schwylił ją za rękę i ścisnął mocno. Ręce miał zimne i spotał. — Jakbym był poddany torturom estrapady.

Elżbieta Radziejowska wzdrzygnęła się, krzyknęła słabo. Spocone dłonie króla były zimne i śliskie jak skóra węża. Starła się wyswobodzić z natęczywych objęć, z pożądliwych ramion, które obejmowały ją ze wszystkich stron jak macki ośmiornicy. Cofnęła się, lecz obrała zły kierunek, w stronę szkarłatnego atlasu i namiotki bordo. Czujnie śledziła gnuśne poruszenia króla. Otari ręce o spodnie, jakby wycierając je z potu. Obserwowała uważnie jego przybliżającą się twarz z zamglonym pożądliwością wzrokiem, z obwisłą pogardliwie wargą z czarną kępką włosów we wgłębieniu podbródka, z kępką nie większą od guzika.

Nagle straciła go z oczu i zanim zdążyła się obejrzeć, poczuła na karku pocałunek i zymnęła się, zadrżała, po wygiętych w łuk plecach przebiegł drobny dreszcz. — Miłościwy panie! — broniła się przed uściskami maskującą wstręt.

— Już to widzę, żem stracił całkiem wzajemność wacpani — usłyszała nad uchem głos nabrzmiały pożądaniem.

— Nie masz już dla mnie tak serdecznego afektu jak dawniej.

Wilgotne dłonie przesuwały się po ciele. Powtarzając pieszczotliwe i lubieżne słowa bez związku Każkojan napierał czule i popychał Elżbietę w kierunku alkowy. Dokoła szamocącej się pary krążył myślimi król obserwując swego Każkojana, zrodzonego z podwojenia ciała króla i wyrosłego na nękczemną kreaturę, nad którą Jan Kazimierz nie miał władzy. I dlaczego, rozmyślał z politowaniem i głuchą frytacją, ów nędzny twór nie chce się wyrzec tego, czemu nie potrafi sprostać, i ponawia beznadziejne wysiłki. Dlaczego w poddającej się biernie pocałunkom Elżbiecie chce widzieć miarę swych upadających sił i wystawia ją na poniżającą i daremną próbę utwierdzenia go w wierze w pełnię mocy?

— Miłościwy panie! — prosiła Elżbieta Radziejowska. — Miłościwy panie! — usiłowała uwolnić się z objęć Każkojana.

— Wacpani zamiast podać rękę tonącemu, spychasz go na dno — król usłyszał wypowiedzianą tonem czulej żartobliwości skargę Każkojana i zgromił go za błazenstwo.

Elżbieta Radziejowska uśmiechnęła się bezsilnie na widok zmęczonych pożądliwością oczu i pobladłej twarzy króla, głuchego na perswazje. Za czym i ją ogarnęła ciemna fala wznoszącej się niemocy i sennej ociężałości. Wyciągnęła rękę do stołka, gdzie wydłużał się kopcące płomienie świec

i odwróciła twarzą do ściany mającej konterfekt Adama Kazanowskiego, stojący między świecami, aby nie patrzył za świątów ukochany małżonek na żonę w ramionach królewskich. Nie mogąc już stać o własnych siłach dopadła do łoża i wcisnęła twarz w poduszki, wyczerpana szarpaniną, drżąca z pożądania, zaplątana w kłębkę pozrywanych z ramion i bioder szat. Objejmowały ją zimne, śliskie ręce króla, osłabłego z ekstazy, sapiącego z namiętności, beznamiętnego, godnego poliowania.

Jan Kazimierz spoglądał z pogardą na Każkojana, który chciał uciec od samego siebie i jak zwierzę, szuka-

jące w przecuciu zbliżającego się końca schronienia, nory, jamy, gdzie by mogło wydać ostatnie tchnienie, zapragnął zapaść się pod ziemię, schronić się przed wzrokiem Elżbiety, i który usiadł przy łożu na stopniach podwyższenia, oplótł rękami nogi Elżbiety i przygnał spocną twarzą do jej kolan. „Król, monarcha, pomazaniec boży, ostatni po kądzieli potomek z krwi Jagiellonów, pan dziedziczny i władca Szwecji z dumnej dynastii Wazów!” rozmyślał z ironią, odwracając twarz od Każkojana, który ośmieszony i żołosny leżał jak lachman na etopniach podwyższenia.

D. c. n.



TADEUSZ GICGIER

# FRASZKI ŁÓDZKIE

#### O POŁOŻENIU ŁODZI

Łódź to centrum Europy — informują przewodnicy. Takie centrum, co zarazem jest prowincją — dla Stolicy.

#### NA STOLECZNE ZAPĘDY CENTRALIZACYJNE

Warszawo, szansy tej nie omiń! Przenieś najwyższy z Łodzi komin.



#### NA TOWARZYSTWO PRZYJACIOŁ ŁODZI

Razem, Łodzi przyjaciele — bo w jej rozkwicie są nasze cele.

#### O RZECE ŁÓDCE

Rzeko moja rodzinna, nikt cię nie docenia, a która rzeka inna co dzień kolor zmienia?



#### APEL DO WIATRU

Wietrze, z podmiejskich klonów ty liści nie zgarniaj, bo gdzie się wtedy skryje gazowa latarnia?

#### JESIENIĄ

Na murze sieć winogrodu i plamy ostatnich liści: więc już i tutaj dotarli łódzcy taszyści?

Łódź z listopadem to dobrana para, bowiem ich aura jest jednako szara.



#### NAJCZARNIEJSZA...

Najczarniejsza z łódzkich przywar: dym, który do nieba przywarł.

#### PLYŃ, BARKO MOJA...

Oto jedna z większych drak: jest Łódź — tylko wody brak.



#### NA PRZYROST ŚRODKÓW LOKOMOCJI

Rzadka spółka: Łódź na kółkach.

#### O MIESZKAŃCACH NIEKTÓRYCH DOMÓW ŚRÓDMIEŚCIA

Teraz już nie śmiać rzec złego słowa, iż rzeczywistość nie jest różowa.

#### MATKA I CÓRKA

„Inne dziś obyczaje mają u nas młodzi: ja członkami tkalam, a córka w nich chodzi...”

#### NAD STATYSTYKĄ ZATRUDNIENIA

Panowie, smutna to prawda, niestety: w tym mieście na nas pracują kobiety.

#### DO ŁODZI

O, miasto pracy i walki o byt, kiedyż upadnie zły o tobie mit?

HENRYK ANDERS

# Książka pogodna i pożyteczna

W latach wojny Modigliani, nie posiadając własnej pracowni, korzystał z gościnności Kislinga. Namalował tam duży, kubizowany portret J. Cocteau — i sprzedał go poecie za pięć franków. Okazało się jednak, że Cocteau nie ma pieniędzy na przesyłkę obrazu do domu, a równocześnie wydało się, że Kisling zadłużył się na jedenaście franków u właściciela kawiarni de la Rotonda i nie można nawet napić się kawy. Rada w radę uregulowano dług obrazem. Po jakimś czasie portret sprzedany został do Ameryki za sumę siedemnaście milionów franków.

„Ktoś przyrównał wirtuozerię Picassa do „diabelskiej sprawności” Paganiniego. Może miał rację. Istotnie jest to wirtuozeria zdumiewająca nonszalanca i najwyższa rutyna. Picasso — jak opowiada Eluard — rysował w nocy, z zamkniętymi oczami, bynajmniej nie dla akrobacji, lecz dla ćwiczenia, by rysunek mógł się stać tak automatyczny, jak pismo”.

„To jest mój testament — pisze Vlaminck. — Dziś właśnie obchodzi 80 rok życia. A jednak mimo sędziwego wieku, obrazy Bruegela, Courbota, Cezanne’a i Van Gogha wywołują w moim

sercu jak najżywsze i najwziewsze uczucia. Natomiast nie lubię i odrzucam młoko pasteryzowane, wyroby farmaceutyczne, witaminy, wszelkie surowaty i dekoracyjne rebusy sztuki abstrakcyjnej”.

Dość przykładów. Książka) nie potrzebuje reklamy. I tak już jej dostać nie można.

Pisać łatwo o rzeczach trudnych, opowiadać przystępnie i zajmująco o zawisłościach i subtelnościach nowoczesnego malarstwa, wyluskiwać jądro prawdy i nie epatować przy tym erudycją, potrafi tylko człowiek, dla którego sztuka była i jest chlebem powszednim, który ukochał ją głęboko, żył nią i razem z nią przeżywał jej wzloty i upadki.

Ani to historia, ani teoria malarstwa, po prostu „wspomnienia paryskie” doskonałego coseura, który, na przekór rzekomym znawcom i głębokim analitykom, przypomniał sobie piękne, młode lata i z humorem, ze zmuszeniem oka opowiada stylem sawdziarza — jak to było naprawdę.

Opowiada, jak asystował narodzinom sztuki nowoczesnej, opowiada o jej kolejach i zmaganiach, których sam był świadkiem, często — gesto wplata anegdoty z życia własnego lub zaprzyjaźnionych artystów czy krytyków. A że obala przy tym niektóre fałszywe poglądy — tym lepiej.

Opisawszy „wspomnienia” trzeba oddać sprawiedliwość „refleksjom”. Książka jest łatwa i porożna, ale nie błaża. Można się nie godzić z niektórymi werdyktami, można protestować przeciw poszczególnym osądom — samego autora i cytowanych przez niego krytyków; trzeba jednak przyznać, że tezy poparte są rzetelną znajomością przedmiotu i obfitej na ten temat literatury.

Tym bardziej można mieć nadzieję, że spełni się pragnienie pisarza i książka przyczyni się do „podniesienia naszej tak zdezorientowanej kultury plastycznej”.

1) Roman Zrębowicz. O nowoczesnym malarstwie francuskim, Wspomnienia i refleksje paryskie. Wydawnictwo Arkady. Warszawa 1959.



Roman Zrębowicz

piero przystąpił do rzeczowego przedłożenia dorobku.

Daleko nam więc jeszcze do zamknięcia bilansu. Czytelniku, który by szukał wyroku i definicji, podsumowań ostatecznych i gotowych formuł, tytuł książki Mieczysława Wallisa może wprowadzić w błąd. „Sztuka polska dwudziestolecia” nie jest bowiem monografią okresu, ani — tym mniej — podrecznikiem. Związy, syntetyzujący wstęp wprowadza nas w ówczesną sytuację sztuki polskiej, po czym autor daje obszerny wybór własnych artykułów krytycznych i recenzji z wystaw, pisanych na gorąco z pozycji nsoznego świadka wydarzeń. Tego rodzaju zestaw prac jednego autora z natury rzeczy nie może być wolny od luk, zadziwiająca jest raczej ich mała ilość. Po cześci autor miał „zadanie ułatwienie: niemal wszystkie środowiska i ugrupowania artystyczne przewidywały się przez stołeczne lokale wystawowe. Na szczęście — dzięki temu otrzymaliśmy książkę o wartości dokumentu.

Autor — po wojnie profesor Uniwersytetu Łódzkiego — był od roku 1921 sprawozdawcą artystycznym warszawskiego „Ro-

nych walorów każdego dzieła, każdego kierunku i każdego twórcy. Jeżeli nie może w czymś wyłowić stron dodatnich, raczej milczy. Nie umniejsza to znaczenia książki — sprawy przemilczane istotnie chyba zasługują na zapamiętanie.

Z omówienia najważniejszych tylko — spośród jakże wówczas licznych — grup i stowarzyszeń twórczych wylania się obraz tendencji i orientacji charakteryzujących ówczesne polskie środowisko plastyczne. Od skrajnej lewicy politycznej — autor celowo unika w tych latach określenia „komunistów” — reprezentowanej przez grupę „Człapka Frygijska”, której członkowie utożsamiali zaangażowanie społeczne z programowym realizmem, od wyznawców „sztuki narodowej”, której zrodem miała być plastyka ludowa, od różnych ugrupowań zachowawczych jak pompierskie „Pro arte”, zasłużona lecz niezbyt już twórcza „Sztuka” oraz akademickie „Bractwo św. Łukasza”, poprzez kierunki umiarkowane — estetyzujący „Rytm”, jak któryś spod znaku „KP”, „Przymiat” lub „Zwornik”, dochodzimy do ra-

presjonizm... miał swoich wyomenników, zwłaszcza wśród przedstawicieli wojnych zawodów... Do innych warstw sztuka dwudziestolecia niemal nie docierała”.

Coś niecoś od tego czasu się zmieniło. Wzrosło wyraźnie zainteresowanie abstrakcjonizmem, trochę się nawet rozszerzył krąg zwolenników. Niemal cała inteligencja oswoiła się już z postimpresjonizmem, impresjonizm zaś stał się sztuką muzealno-klasyczną, dostępną i zrozumiałą dla niewyrobionego do niedawna widza. Dziewiętnastowieczny realizm zjednał sobie odbiorców, którzy się dotąd ze sztuką nie stykali.

Takie są plony wytrwałości artystów, cierpliwiej i zmużonej pracy krytyków. Niemala w tym zasługa autora książki.

1) Mieczysław Wallis. Sztuka Polska Dwudziestolecia. Wydawnictwo Arkady. Warszawa 1959.

## Sztuka polska dwudziestolecia

Lata 1917/1939, od zawiązania się w Krakowie grupy „formistów” do wybuchu drugiej wojny światowej, były w Polsce okresem bujnego rozwoju sztuki.

„Był to okres rozkwitu grafiki... Na terenie międzynarodowym Polska zasłynęła... osiągnięcia w dziedzinie tkactwa artystycznego... oraz plakatu. Także w dziedzinie malarstwa i rzeźby mieliśmy... wielkie bogactwo indywidualności twórczych”.

Sztuki dwudziestolecia nie znany dotąd w stopniu choćby dostatecznym. Od kilku lat do-

botnika”, później „Wiadomości Literackich”. Stał rożna forma artykułów pisanych z rozeznaniem poziomu odmiennych środowisk. Stał też druga, pozorna tylko, niekonsekwentna książka, co zresztą sam autor jej nie podkreśla; uwidoczniła dla celów dokumentalnych różnicę poglądów na te same zjawiska — po prostu neuriktrońa z biegiem lat korekta wcześniejszych ocen.

Prawie zawsze, z nielicznymi tylko wyjątkami, są to oceny przychyłne. Nie widać się z żadną z grup, starając się zachować maksymalną obiektywność, krytyk szuka pozytyw-

dykałów, rewolucjonistów w sztuce — „formistów”, członków „Bloków” czy późniejszej grupy „a.r.”, artystów ideowo postępowych lecz niekomunikatywnych dla mas.

„Zasieg oddziaływania tych rozmaitych stowarzyszeń... był oczywiście nader różny... Eksperymenty formistów, malarstwo bezprzedmiotowe „Bloków” i „Pracensu”, nawet koloryzm poimpresjonistyczny kapistów przemawiały jedynie do szczupłego grona artystów i inteligencji. Nieco szerszy, choć też ograniczony krąg odbiorców miał „Rytm”. Umiarkowany im-



## Przez porty świata • Przez porty świata • Przez porty

Wszyscy z niecierpliwością oczekujemy lata. Święta w morzu, Nowy Rok w morzu. Teraz nareszcie po kilkunastu dniach znowu poczujemy pod stopami twarde gruntu. No a poza tym, to pierwszy port w drodze do domu. Wzięliśmy „kurs na kraj”.

Współczesnemu podróżnikowi przychodzi jednak czasem zazdrościć poprzednikom. Żeglarzom starych korwet i żaglowców. Im było dużo łatwiej dostać się do Singapuru. Prawda, że pod różó w tamtych czasach związane były z wieloma niebezpieczeństwami, ale kiedy w końcu statek dopłynął, nie nie stało na przeszkodzie jeśli miałeś zezwolenie kapitana na zejście na ląd, abyś, dzielny żeglarzu, do woli zabawił „szczyry lądowe” swymi „prawdziwymi” opowiadaniem o szkwałach, sztormach, taffunach, rusałkach i swej własnej odwadze.

### ANGIELSKA „UPRZEJMOSĆ”

Niestety skończyły się te sielskie czasy. Żeglarzy, któ-

rzy dotrą do portu czeka przede wszystkim niewesoła zabawa, dziewczyna, knajpa. Czeka przede wszystkim urzędnik imigracyjny.

Chciałbyś bratku na lądzie piwa się napić, giu z grapefrutem lub „whisky and soda”, a co gorsza zawrzcć bliższą znajomość z jakąś piękną malajką, co zapewne nie pozostałoby bez wpływu na poglądy tej pani, która oczywiście natychmiast zaprzestaby uprawiania swego szlachetnego zawodu i zajęłaby się „obalaniem panowania Jego Królewskiej Mości, Królowej Anglii”. Ale nie, Wielkie Imperium Brytyjskie czuwa. Zjawia się na statku w postaci eleganckiego uprzejmego gentlemiana, który jest właśnie urzędnikiem imigracyjnym. W towarzyskiej pogawędce uśmiechnięty „sir” oświadcza, że ma dla nas dobrą wiadomość. Nastawiamy uszu.

— W porcie — mówi — oprócz waszego, stoi tylko jeszcze jeden statek „komunistyczny”, w związku z tym władze postanowiły iść załogę „na rękę”, i na pięćdziesięciu sześciu ludzi załogi wydały aż 10 przepustek ważnych od dziewiątej rano

do piątej po południu.

Nie dziwię się, że nie doceniliśmy uprzejmości władz a na głowę czujnego przedstawiciela imperium po spytały się niezbyt parliamentarne słowa. Angielski gentleman na szczęście niewiele z tego rozumiał i w dalszym ciągu nie przesłał uprzejmie się uśmiechać.

Nasz „stary” próbuje ratować sytuację. Częstuje „sera” jego ojczystą „whisky” oprowadza go po statku pokazując unieszczęcone w „messach” i na ścianach korytarzy zdjęcia generała Sikorskiego w rozmowie z Churchillem, Rooseveltem, brytyjskimi generałami... Pan jest w dalszym ciągu wyszukanie uprzejmy... Z szacunkiem spogląda na potrójny rząd baretek odznaczniowych naszego kapitana. Jest tam kilka odznaczeń brytyjskich za udział w obronie Anglii... „Sir” składa kapitanowi gratulacje z powodu tych odznaczeń, z uznaniem wspomina udział Polaków w obronie Anglii i z oficjalną miną oświadcza, że oczywiście gdybyśmy pływali pod inną a nie polską banderą to owszem, bardzo chętnie...

### BAJECZKI I FAKTY

Prawdę mówiąc, choć port był szczerze ogrodzony i dobrze strzeżony nie bardzo przestrzegałem godzin pozostawania na lądzie. Stare przysłowie, że abyjechać trzeba oliwić okazało się skuteczne i na dalekiej wyspie. Spieszę jednak zapewnić panów policjantów, że żadnych spisków ani szpiegowskich organizacji nie udało mi się zorganizować.

Opisu romantycznego wieczoru w Singapurze przycięm z poznanymi nocą, wróżen z nielegalnych palarni opium, nie będzie. Pretensje proszę kierować pod adresem brytyjskiego gubernatora w Singapurze. Jego zarządzeniem bowiem zawdzięczać, że zajmowałem się w Singapurze nieco poważniejszymi sprawami.

Zaciekawilo mnie, dlaczego stosuje się w Singapurze sztykany wobec marynarzy ze statków pływających pod socjalistycznymi banderami. Próbowałem znaleźć racjonalną przyczynę tych faktów. Bowiem bajeczka o możliwości komunistycznego szpiegostwa, pozostaje tylko bajeczką. Takie same warunki do

komunistycznego szpiegostwa są np. w innej kolonii angielskiej — Hongkongu, a jednak tu Brytyjczycy nie zastosowali podobnych obostrzeń, mimo że i tu znajduje się duża baza brytyjskich sił zbrojnych. Śmieszne, skrojone na miarę kiepskiego romansu kryminalnego, wydaje się twierdzenie, że godzinowe obostrzenia wynikają z tego, że wieczorem łatwiej jest prowadzić działalność wywrotową. Trzeba Anglikom wybaczyć — słyszałem od dobrze poinformowanych kobiet, że Angliey nie słyną z temperamentu i mogli po prostu zapomnieć, że marynarze miewają wieczorami nieco inne zainteresowania. Jak mawia pewien mój znajomy, rozliczając delegację służbowo — „człowiek nie drewno...”

Spróbujmy więc znaleźć prawdziwe przyczyny. Warto przyrzyć się nie tylko zewnętrznym cechom życia na wyspie. Warto pogrzebać w gazetach, statystykach, zainteresować się politką, historią, ekonomiką... To wcale pasjonujące sprawy.

Singapur swym charakterem, budownictwem bardzo przypomina miasta chińskie. Reprezentacyjna część miasta

stanowi przede wszystkim bieżący bulwar pełen wielkich biurów otoczonych wysmukłymi strzelistymi palmami, oraz Highstreet, ulica reprezentacyjnych sklepów, wielkich domów towarowych. Wyjawszy te dwie ulice oraz europejską dzielnicę mieszkaniową, Singapur składa się z wąskich uliczek, małych, obwieszonych suszącą się bielizną domków. Uderza ogromna ilość chińskich restauracji, jadalni i budydyskich świątyn. Nie jest to bynajmniej tylko zewnętrznie wrażenie: w liczącym ponad milion mieszkańców Singapurze, blisko 800 tysięcy stanowią Chińczycy. (Białych jest tu około 15 tysięcy). Jest nawet kilku Polaków, raczej niechętnie przyznających się do swego pochodzenia, choć rekrutują się z wojennej emigracji. Przytoczone cyfry świadczą o tym, że „problem chiński” stanowi z natury rzecz, fak edywyżej gorydyski brytyjskiej polityki w Singapurze.



Ulica na przedmieściu Singapuru

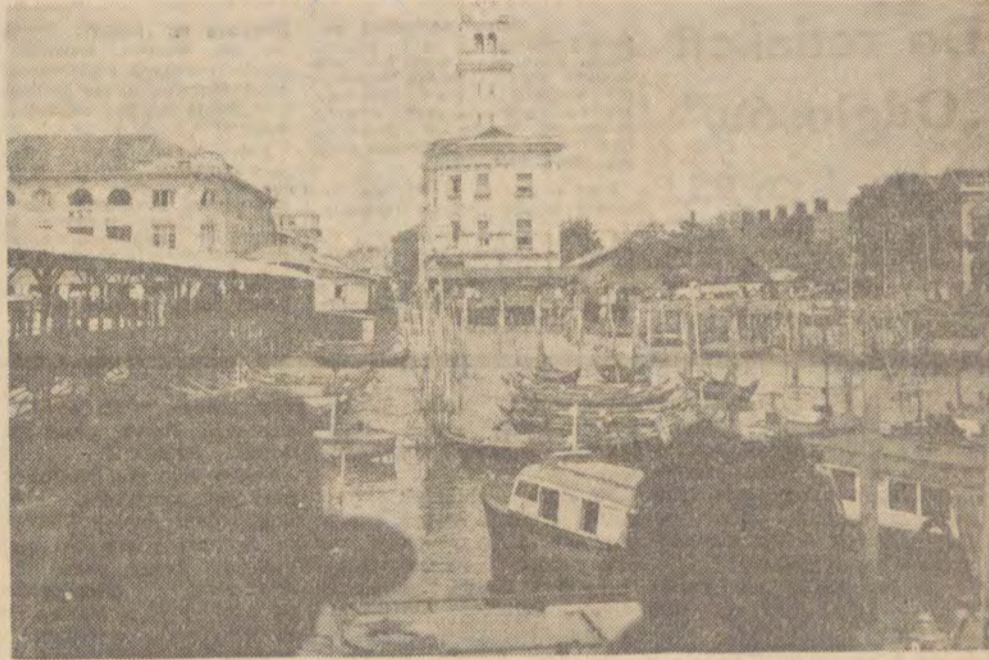


Ulica Singapuru. Rowery riksze, nowoczesne samochody





Wpływamy do portu Penang..



Penang to właściwie nie jest wyspa ale kilka wysp połą czonych kanałami

W czasie mego pobytu w Singapurze odbywał się tam Kongres linii lotniczych Pacyfiku. Władze brytyjskie odmówiły delegatowi Czag Kai-szeka prawa wywieszenia flagi tzw. „Chin narodowych”. To oczywiście, przypadkowy i nieco błahy dowód na ogólnie znana już w świecie prawdę, że Wielka Brytania niezbyt poważnie traktuje „taiwańczyków”. Nie zmienia to jednak faktu, że władze brytyjskie w Singapurze są mocno zaniepokojone sympatiami miejscowej ludności dla ChRL oraz wpływami komunistycznymi wśród ludności chińskiej. Potwierdzeniem tych wpływów było zwycięstwo lewicowej Partii Akcji Ludowej i Partii Robotniczej w wyborach do rady miasta i wysp.

Zaniepokojenie to tłumaczy się oczywiście nie tylko faktem strategicznego znaczenia Singapuru. Port, do którego zawija rocznie około 50 tysięcy statków (około 150 statków dziennie), o łącznym tonażu około 35 milionów bryt przynosi ogromne zyski, na wyspach Pulo Brani znajduje się największa na świecie huta cyny, własność brytyjskiego Straits Trading Co, dająca 36% światowego wytopu cyny. Singapur ma także odlewnie żelaza, fabryki urządzeń górniczych, plantacje kauczuku.

Pewien urzędnik, Malajczyk z pochodzenia, powiedział mi w rozmowie: — O Singapurze powiadają, że jest to klejnot w brytyjskiej koronie. Klejnot jest piękny, ale czy korona tak mocna, aby go w wyłącznym i niepodzielnym posiadaniu utrzymać? Pytanie nie jest bezprzedmiotowe. Kłopoty Brytyjczyków z Singapurem trwają już bowiem od dawna.

#### WIELKA PROWOKACJA

W czasie okupacji japońskiej komunistycznej zorganizowali bardzo silny ruch oporu — sprawne oddziały partyzanckie. Ponieważ był to najsilniejszy, naprawdę ogólnonarodowy ruch przeciw Japończykom, Brytyjczycy zapatrywali go w broń i wyposażenie. Kiedy wojska brytyjskie wkroczyły na Malaję, kraj był już wolny. Ludowa Armia Wyzwolenca oczyściła Malaję z japońskich okupantów.

Brytyjczycy nie zamierzali jednak zrezygnować ze swego panowania na Malajach, ani dopuścić do uzyskania przez Singapur niepodległości. W roku 1946 wyłączyli Singapur z kolonii Straits Settlements i wraz z oddzielną Wyspą Bożego Narodzenia i Wyspami Kokosowymi utworzyli osobną kolonię koronną Singapur.

Jednak w obliczu bardzo silnych ruchów narodowo-wyzwoleńczych Angliję przyrzekli Malajom kontynental-

nym niepodległość. W 1948 roku wchodzi w życie konstytucja, na mocy której powstaje Federacja Malajska obejmująca wszystkie księstwa malajskie i terytoria kolonialne z wyjątkiem Singapuru.

W tym samym czasie w tajemniczych okolicznościach ginie trzech plantatorów angielskich. Stała się to początkiem wielkiej prowokacji. Władze oskarżają o to Malajską Armię Wyzwolenca. Rozpoczynają się masowe aresztowania, deportacje, egzekucje postępów przywódców. W odpowiedzi wybucha strajk powszechny. Władze brytyjskie wydają zakaz działalności partii politycznych, związków zawo-

leży przyczyna, dla których Angliję tak niechętnie traktują przybyszów na Malajach.

Singapur opuszczamy nocą. Plyniemy za cieśniną do Federacji Malajskiej. Następny port Penang — wyspa złotem słynąca.

#### FLAGA I NIEPODLEGŁOŚĆ

Na pożegnanie angielski urzędnik imigracyjny wręczył ochmistrzowi kopertę dla swego kolegi w Penangu — angielskiego urzędnika imigracyjnego w „niepodległych Malajach”. W kopercie są instrukcje, komu i ile wydać przepustek na zejście na ląd. Ale koperta jest zapieczętowana. A więc znówu rozmowy: zjedziemy czy nie?

postwierane na oścież. Żyćcie rodzinne toczy się niemal na ułchy. Przed domami na drewnianych przyczach leżą porozbierani ludzie. Z wnętrza dochodzi cicha, monotonna, piszcząca, arytmiczna muzyka, głośnie gwałtowne rozmowy i pisk dzieci.

#### SIKHOWIE

Śródmięjskie ulice pełne są sklepów z „ciuchami”, tandetnymi pamiątkami. Dużo wielkich sklepów ze złotem, biżuterią, szlachetnymi kamieniami. Penang słynie przecież ze znacznych pokładów złota. Przed wielkimi sklepami, bankami siedzą potężni, tężdy, barczyści Sikhowie — hinduscy górale-wojownicy. Mają

wydała się raczej spokojne, leniwe. Policja ostrzega jednak przybyszów przed samotnym poruszaniem się wieczorami po niezbyt ludnych dzielnicach miasta, a stojąca przy przystani promowa tablica głosząca że w rejonie tym działają „czarni bandyci” zakłada nieco ten spokojny obraz.

#### SKY DANCE

Pomimo ostrzeżeń policji, spragniony „czegoś zimnego” daje się namówić rik-szarzowi i jędę na „Sky dance” — niebiańskie tańce do jednego ze śródmięjskich kabaretów.

Wielka drewniana buła, w środku trochę stołków. Duży parkiet, po którym

— Malaje nie są już przecieży kolonią, ale członkiem Wspólnoty Brytyjskiej.

— Niech pan nie będzie drobniakowy. Rządzą dalej Angliję i to jest ważne. Ja nie mam nic przeciwko komunizmowi, choć w takim ustroju nie mam ochoty żyć. Czy mieli szanse zwyciężyć Anglików? Żadnych. Czy sądzi pan, że Angliję zrezygnowałyby z tych bogactw? Niech pan spojrzysz na mapę gospodarczą zachodniego wybrzeża Malajów. Malaje dają trzydzieści kilka procent światowej produkcji kauczuku, blisko czterdzieści procent światowej produkcji cyny, poza tym złoto, ruda żelaza, boksyt, tungsten, węgiel, olej palmowy, ryż, banany. Gros eksportu idzie do Stanów Zjednoczonych. Anglia w obrocie handlowym ze Stanami ma stale ujemny bilans. Malaje w znacznym stopniu go równoważą. W zesłym roku w samym obrocie ze Stanami uzyskano na czysto blisko 200 milionów dolarów. Trzeba wariata, żeby wycofać się z takiego interesu.

Od wielu lat agencje prasowe całego świata podają doniesienia o toczącej się na Malajach walce. Był nawet czas, gdy wydarzenia na Malajach zelektryzowała została cała opinia publiczna świata, a angielski parlament był widownią burzliwej debaty.

Pewna angielska gazeta zamieściła zdjęcie, które obiegło prasę obu półkul. Młody uśmiechnięty angielski żołnierz trzyma na bag-necie uciętą głowę malajskiego partyzanta. Był to czas, gdy wojna malajska sięgnęła zenitu.

Jeśli przytoczyłem fragmenty rozmowy z Patrikiem, to nie dlatego abym podzielał jego poglądy na sprawę wojny wyzwoleńczej. Ferowanie wyroków jest tu sprawą niełatwą. Każdy naród ma przecież niezaprzeczone prawo do walki o wolność. Wybór metod i czasu zależy od analizy układu sił. Jeszcze tym razem zwycięstwo odnieśla brutalna siła kolonizatorów.

Kierownictwo komunistyczne doszło do wniosku, że dalsza walka zbrojna nie jest celowa. Odbyło się spotkanie z szefami rządów Federacji Malajskiej i Singapuru. Strona ludowa wyraziła zgodę na zaprzestanie działań wojennych pod warunkiem zalegalizowania MPK i zagwarantowania uczestnikom walk partyzanckich wszystkich swobód obywatelskich. Do porozumienia jednak nie doszło. Jak więc dalej potoczą się lesy tego pięknego i ciekawego kraju?

— Wie pan, za głośno tu. Chodźmy do jakiejś mniejszej knajpki.

Kiedy wychodziliśmy tłumaczył mi: — Tu każdy kelner to agent policji. Pan chyba chce tu jeszcze kilka dni pozostać, a moi rodzice — mam ojca Anglika i matkę Malajkę — także chcą tu pozostać. Nigdzie nie czuję się tak bezpieczny jak w Anglii. Angielska demokracja jest dla mnie ideałem. Ale Angliję w koloniach to zupełnie co innego.

#### Tekst

i  
zdjęcia  
WIESŁAW  
GÓRECKI

# MALAJE

downych i organizacji młodzieżowych.

Teraz polityczny ruch dążący do niepodległości przeobraża się w walkę zbrojną, tym razem przeciw brytyjskim kolonizatorom. Singapur stała się główną bazą wypadową wojsk brytyjskich, złożonych zresztą głównie z półdzikich Dajaków z brytyjskiego Borneo i Gurków z Nepalu.

Rewolucja chińska wzmacnia obawy kolonizatorów o ich interesy na Dalekim Wschodzie. Singapur przekształcony zostaje w potężną bazę wojenną. Tu znajduje się główne dowództwo brytyjskich sił zbrojnych na Dalekim Wschodzie, wielkie porty lotnictwa i marynarki wojennej. Ostatnio jednak Brytyjczycy nadali Singapurowi nową konstytucję. Singapur przestał być kolonią i wszedł w skład brytyjskiego Commonwealthu. Angliję wprowadzili do konstytucji klauzule, na mocy których osoba mianowana przez królową. Rząd brytyjski ma prawo zawiesić nową konstytucję, gdy powstanie sytuacja zagrażająca Wielkiej Brytanii.

Przyczyną tych wszystkich ostrożności są oddalone za ledwie o 4 km — tyle liczy cieśnina dzieląca wyspę od półwyspu — Malaje. Sultana, który odstąpił wyspę Anglikom nazywał się Johore. Jego imieniem nazywany jest jeden ze stanów malajskich wysunięty najbardziej na południe. Tu skupia się nieliczna reszta oddziałów partyzanckich Malajskiej Armii Wyzwolenczej, która od wielu lat prowadzi beznadziejną walkę o niepodległość swego kraju. I tam za cieśnina szukać na-

Plyniemy teraz cieśniną Malakka. Po prawej stronie widać zachodnie wybrzeża Federacji Malajskiej, po lewej brzegi Sumatry. Przed nami widoczna już przez szkła lunety położona między kilkoma górzystymi pokrytymi dzunglą wyspami — „perła Malajów” wyspa Penang. Z dala od brzegu odbija w naszą stronę mała zgrabna motorówka. W kilkanaście minut później na pokład statku po sztorm — tropie wchodzi urzędnik imigracyjny „niepodległych Malajów” — Anglik, pan Johnson, celnicy i pilot, także Anglik. Angielski pilot rozgląda się po statku, spogląda na przedni maszt, gdzie u góry powiewa flaga Federacji Malajskiej i z drwiącym uśmiechem zwraca się do stojącego obok polskiego oficera: — Widzę, że wywieśliście flagę tych czarnuchów.

— Daliście przecież Malajom niepodległość... Anglik uśmiecha się filuternie, mruga okiem... — Oczywiście. Tylko inne statki jeszcze się czasami mylą i wywieszają tak jak przedtem flagę brytyjską. Nie sądzę zresztą, aby zmiana flagi miała jakieś większe znaczenie... Tego samego wieczoru zgrabnie podskakujący na fali „sampan” wiezie mnie na ląd. Słabo oświetlony Penang robi tajemnicze i egzotyyczne wrażenie. Wąskie, opadające ku morzu uliczki, zabudowane małymi, głównie drewnianymi domkami. Dużo podciemi, wykuszów, werand, balkonów ma kryć mieszkańców przed rozżarzoną zwrotnikową słońcem. Nocą służą one znakomicie za sypialnie dla całych rodzin. Duże okna i drzwi

gęste długie brody, białe turbany i kolorowe szaty. Uzbrojeni są w stare wielkie flinty i noże. Zajmują się ochroną bogatych kupców i bankierów przed bandytami, złodziejami zorganizowanymi w podziemne mafie i gangi.

W okresie kiedy Malajska Armia Wyzwolenca powróciła do dzungli, aby w ukryciu walczyć z kolonizatorami o wolność kraju, Angliję pod pozorem zezwolenia na działalność religijną zalegalizowali szereg potężnych maffii i gangów trudniących się terrorem i bandytyzmem. W zamian gangi udzielały kolonizatorom pomocy w zwalczaniu komunistów i Malajskiej Armii Wyzwolenczej, denuncjowały działaczy niepodległościowych, a nawet na odpowiednie zlecenie zajmowały się skrytobójczymi mordami. Okres legalnej działalności wykorzystali gangi na umocnienie się. Droga szantażu i napadów wymuszano okupy i składki od malajskich bogaczy. Gdy Angliję rozgromili głównie siły partyzantów, zdelegalizowali działalność gangów. Jednakże podziemne, świetnie zorganizowane, dysponujące dużym bogactwem mafie stały się tak potężne, że do dziś sięją postrach wśród ludności, a policja (podobno mafie i tam mają wpływy) nie może sobie z nimi poradzić. Malajskie zakrzywione sztylety są ostre i w doświadczonych rękach stanowią niezawodną broń. Policja znajduje od czasu do czasu w wąskich ciemnych uliczkach przesytego sztyletem człowieka. Sprawcy wykrywani są nader rzadko.

Mimo to nawet bystremu obserwatorowi życie miasta

pelżają przyćmione kolorowe światła reflektorów. W głębi niewielki dyskretny bar. Na suficie i pod ścianami pracują dziesiątki wielkich śmigieł — wentylatorów. Pod wentylatorami siedzą młode, kolorowo ubrane Malajki, Chinki, Hinduski i dyskretnie wabią wchodzących mężczyzn.

Rozmowy z mieszkańcami są bardzo trudne. Od przeciętnego mieszkańca dzieli przybysza orientalna bariera językowa.

W barze na stolkach siedzi kilku mężczyźni. Siadają i po chwili popijam lodowate colaty. Obok siedzi elegancko ubrany młody mężczyzna. Rozmowę udaje mi się nawiązać szybko. Ogień do papierosa — stary trik ale niezawodny. Po chwili ciągniemy razem „whisky”.

— Pan na długo do tego piekła?

— Niestety, raczej na bardzo krótko — odpowiadam.

— Niestety? Jest pan chyba pierwszym białym, od którego słyszę coś takiego. Ja na szczęście już za kilka dni wracam do Londynu.

Rozmówca mój spojrzął na stojącego w pobliżu barmana.

— Wie pan, za głośno tu.

— Nieestety? Jest pan chyba pierwszym białym, od którego słyszę coś takiego.

— Tu każdy kelner to agent policji. Pan chyba chce tu jeszcze kilka dni pozostać, a moi rodzice — mam ojca Anglika i matkę Malajkę — także chcą tu pozostać. Nigdzie nie czuję się tak bezpieczny jak w Anglii. Angielska demokracja jest dla mnie ideałem. Ale Angliję w koloniach to zupełnie co innego.

# Do redakcji „Odgłosów”

W numerze 51 „Odgłosów” z dnia 20 grudnia 1939 r. przeczytałem artykuł Beltra pt. „Dysproporcja rodzinna i pierwszy biust Francji”. Artykuł ten podsumowywał dyskusję na temat tzw. równych i równiejszych.

Beltra pomieszał pojęcia i doszedł do zgola fałszywych wniosków. Socjalizm nie zakłada mechanicznego zrównania wszystkich ludzi. Tendencje do „urawniłowki” zostały w swoim czasie w Związku Radzieckim ostro potępione jako szkodliwe lewactwo.

Przy okazji (a raczej bez powodu) Beltra napadł na miłe.

Pisze: „W czasie wojny od stania w ogniku pan Kowalski może iść tylko do kina, a pan Grzegorz Timofiejew może napisać trylogię pod nagrodę

literacką m. Łodzi”. Dziękuję za tak wielkie zaufanie do moich twórczych możliwości, ale skąd Beltra (a nie jasnowidzi, wie, że ja napiszę akurat „trylogię”?

Dalej Beltra martwi się, że „pomnikowe dzieło łódzkiej literatury będzie produktem nadzwyczaj społecznie kosztownym”. A może inaczej? Może przyniesie wydawnictwu zyski (jeśli zostanie napisane i wydane) a Beltrowi zaszczyt, że pierwszy je w prasie zapowiedział? Może spotka się z po-

czytnością i odegra społecznie pozytywną rolę?

Ale Beltra wyrokuję: „Uważam, że bardziej się oplaca, żeby Grzegorz Timofiejew stał w ogniku”.

A fał Tak! z Beltra „szerzmiarz demokracji”, a narzuca mi, co ja mam robić. Niechże zostawi mi prawo wyboru.

Zarty na bok! Ostatnio wysłała moja książka pt. „Miłość nie zna zniechęcenia”. Właśnie o Łodzi. Czytelnicy ją szybko rozkupili a recenzenci omówili

życiowo. Oczywiście, Beltra może się ta książka nie podobać. Ja zostawiam mu prawo wyboru. Ale w takim razie należy książkę otwarcie i rzetelnie skrytykować, a nie wypisywać niesmacznych aluzji („pomnikowe dzieło łódzkiej literatury”) i złośliwych insynuacji.

Bo to niepedagogicznie, panie Beltra!

Grzegorz TIMOFIJEJEW  
24. XII. 1939

# Wyjaśniam iż..

W rozważaniach o niedemokratyzmie rodzimych obywateli, w kontekście sprzeciwienia się znanej a obiegowej tezie, jakoby czas pisarza, uczonego lub dyrektora był cenniejszy od czasu zwykłego śmiertelnika — użyłem lekkomyślnie nazwiska p. Grzegorza Timofiejewa. Egzemplifikowałem nim antytezę, że z punktu widzenia poczucia społecznej równości jest bardziej optymalne, by literat stał w ogniku niżby miał być automatycznie zwolniony z tej wyściepującej u nas czasem konieczności tylko dlatego, iż jest literatem i pisze cenne powieści. Wyróżnianie zawodów i stanów, stawianie „wyżej” desygnowanych na nie osób i uprzywilejowywanie ich poza sferą zawodową i służbową, w potocznym życiu ogólnospołecznym, klęczy się z principiami naszego ustroju jako pochodną od feudalnych stosunków społecznych.

Wskazałem w tym samym kontekście, iż stosowanie w socjalizmie, instrumentem uyrówniania jednostek, szczególnie tuż przed wojną, jest uwaga, że nie wszyscy mogą one kupować sobie różne usługi i przedmioty oszczędzające ich cenny czas. Tym sposobem odżegnałem się od pomówień mnie o proponowanie tzw. „urawniłowki”. Wymieniłem i inne wyróżniki społecznej wartości jednostek — nagrody i ordery. W tym sensie skójczyłem nazwisko p. Timofiejewa z nagrodą literacką m. Łodzi. Jak rzekłem, uczynienie lekkomyślnie, a to dlatego, że nie przecydziałem, iż p. Timofiejew wzięty owo skójczyłem dostojnie, ponieważ i — co jest już absolutnym zaszczytkiem — jako dyshonor. Za dyshonor gotów jestem przeprosić z zaznaczeniem, iż lansowanie bądź utrwanie różnych kandydatur to nie moja specjalność. Niniejsze piszę tylko dla zorientowania w istocie rzeczy. Czytelnikowi.

BELTER

Oto postać przestępcy „lżejszego” kalibru. Postać oszusta - sportsmena, znakomitego znawcy charakterów ludzkich, a szczególnie tych rejonów psychiki człowieka, gdzie ukryte są mechanizmy pasji i namiętności.

Nie bez kozery ów przestępca wybrał sobie za teren działania filatelistykę. Tam właśnie mechanizmy pasji i namiętności, wywołane przez manię kolekcjonerską, pracują na szczególnie szybkich obrotach.

Nigdy nie miał się „mokrzej roboty”, nie rabował nawet nie kradł w dosłownym znaczeniu. Wyłącznie „nabierał”. Tylko dlatego nazywamy go „przestępcą mniejszego kalibru”, co nie oznacza bynajmniej, że działał na małą skalę.

## KARIERA HOCSZTAPLERA ALFONSA P.

Za Tadeuszem J. zamknęły się wrota więzienia. Polowanie na „rekiną” było skończone. Lecz, jak zwykle bywa w takich wypadkach, spod oka myśliwych wymknęła się „ryba-pilot”.

Towarzysz wielu przedsięwzięć Tadeusza J., kryjący się w cieniu jego wszechmocnej postaci Alfonsa P. musiał wrócić znowu do swoich wypróbowanych metod, zacząć jak dawniej, liczyć wyłącznie na własny spryt. W dodatku poszukiwała go milicja. Widocznie w takiej sytuacji wolał nie drażnić losu, który tak długo mu sprzyjał i postanowił usunąć się w zapomnienie. Dlatego nie doczekał się nigdy „pomnikowego wydania swoich dzieł”, spisanych w akcie oskarżenia.

Została po nim tylko legenda i fragmentaryczne zeznania na marginesie innych spraw. Szkoda, bo jego działalność warta była nawet studium socjologa.

## PRZEDBÓRZ PO RAZ PIERWSZY

W okresie pierwszej wojny światowej małe miasteczka zaboru austriackiego pozabawione były własnych urzędów pocztowych, których funkcje przejmowały rady miejskie. Dostarczały one korespondencję z oddległych urzędów pocztowych do rak mieszkańców i pobierały za to dodatkową opłatę doręczenia uszczelnoną specjalnie wydrukowanymi w tym celu znaczkami. Ponieważ miasteczka były niewielkie, nakłady znaczków doręczenia wysyłały nawet i po 2 tys. sztuk, co spowodowało, że znaczki te stały się wkrótce materiałem niezwykle cennym dla filatelistów.

W latach trzydziestych pewien bogaty dyrektor z zagłębia naftowego w Drohobyczu zaprzagnął zgromadzić w swoich zbiorach cały zapas lokalnych znaczków miasta Przedbórza, a zakupu dokonywał na jego zlecenie pewien młody człowiek, podopieczny dyrektora.

Niestety, bogaty filatelista niedługo cieszył się posiadaniem całego zapasu Przedbórza, bowiem wkrótce ów młody pośrednik zameldował, że ktoś jeszcze ma trochę takich znaczków. Dyrektor wykupił więc i tę „resztę”.

Jednak magiczny Przedbórz pojawił się znowu po jakimś czasie na rynku filatelistycznym. Okazało się, że w międzyczasie niewinnie wyglądający młody chłopiec produkował uruchomienie sprowadził fałszyków

„Przedbórza”, licząc że bogaty maniak będzie sukcesywnie wszystko wykupował.

Do dziś w zbiorach filatelistów znaleźć można znacznie więcej fałszyków niż oryginałów „poczty miejskiej Przedbórz”, mimo że wiele zbiorów zniszczyła wojna.

W ten sposób rozoczał swoją karierę Alfons P.

## SŁOWO O METODACH

Jest rok 1945. W czasie wojny zginęło wielu filatelistów. Ich zbiory wyprzedają teraz różni, pozostający bez środków do życia.

Można za bezcen kupić niezwykle kosztowne znaczki, bo spadkobiercy zmarłych nie znają zwykle ich wartości.

W latach 1945-47 Alfons P. dał się we znaki wszystkim naleganiami do jednego z gdyńskich hoteli, gdzie rezydował, Alfons P.

Oczywiście ten ostatni wyparł się znajomości z chłopcem, potem jednak identyczny znaczek z atestem został kupiony przez pana S. w Bydgoszczy bezpośrednio od Alfonsa P. za sumę 18 tys. zł. Nie trzeba wyjaśniać, że zarówno znaczek jak i atest były fałszywe, a jednak spośród trzech „kuszonech” dwóch udało się oszustowi nabrać.

Zbyteczne zapewne również dodawać, że komplet zaofiarowany panu G. przez młodą kobietę pochodził z tego samego źródła, co łatwo dalo się stwierdzić.

W latach 1945-47 Alfons P. dał się we znaki wszystkim

# Zza kulis

ANDRZEJ ZYBERT



## manii stulecia (3)

Do sklepiku łódzkiego kupca filatelistycznego pana G. wchodzi młoda kobieta z zapasem znaczków zmarłego wujka. Sama na znaczkach się nie zna, ale wuiek mówił zawsze przed śmiercią, że to warte jest grube pieniądze, więc ona boi się zostawić znaczki do oceny, chyba że otrzyma zaliczkę. 30 tys. złotych w tym czasie było sumą niebógatelną, ale kupiec uznał, że może nawet bez sprawdzania znaczków, noszących wszelkie pozory autentyczności, taką zaliczkę zapłacić.

Został z klaserem misternych fałszyków i nigdy już nie miał przyjemności oglądać swojej interesującej kolekcji.

Pan J. z Wybrzeża był nieco bardziej ostrożny od innego łódzkiego kupca — pana K. Obu im trafiła się, w krótkim odstępie czasu, okazja kupienia za grosze, od małego chłopca, jednego z najcenniejszych znaczków polskich — krakowskiej 10 — halerzówki.

Pan K. z Łodzi kupując tak cenny znaczek od ucznia wyległ i wyległ w końcu go i stwierdził, że dowód jego jest prawdziwy. W oryginalności znaczka nie potrzebował wątpić, bo był on opatrzonej tzw. „atestem” — opinia najwyższego polskiego eksperta prof. Miksteina.

Natomiast pan J. który żywił uzasadnione podejrzenia, nastraszył „swojego” chłopca aresztowaniem i w ten sposób dowiedział się skąd znaczek pochodził. Chłopiec zabrowadził go po dłuż-

szym naleganiami do jednego z gdyńskich hoteli, gdzie rezydował, Alfons P. Oczywiście ten ostatni wyparł się znajomości z chłopcem, potem jednak identyczny znaczek z atestem został kupiony przez pana S. w Bydgoszczy bezpośrednio od Alfonsa P. za sumę 18 tys. zł. Nie trzeba wyjaśniać, że zarówno znaczek jak i atest były fałszywe, a jednak spośród trzech „kuszonech” dwóch udało się oszustowi nabrać.

Zbyteczne zapewne również dodawać, że komplet zaofiarowany panu G. przez młodą kobietę pochodził z tego samego źródła, co łatwo dalo się stwierdzić.

## NAJWIĘKSZE OSZUSTWO

Do historii przejdzie jednak z pewnością „numer” Alfonsa P. ze zbiorom kantoniów szwajcarskich i kolonii niemieckich. Hochsztapler ostrzył sobie zęby na ten cenny zbiór od dawna. Znaczki były jed-

nak w posiadaniu człowieka, który zbył dobrze znał Alfonsa P., by miał dać się oszukać.

„Kantony” to zbiór znaczków regionalnych poczt szwajcarskich z lat 1843 — 1850, bardzo wysoko szacowany za granicą. W zbiorze kolonii niemieckich tego samego filatelisty figurowały takie dziwy jak listy wysyłane z tych kolonii w czasie pierwszej wojny i przejęte przez Japończyków, lub noszące nadruki okupacyjnych wojsk angielskich. Dość powiedzieć, że zbiór wart był ponad 10 mln złotych (stara waluta).

Alfons P. przyjął się jednemu z przyjaciół posiadacza tych zbiorów, że ma niezwykle dogodną możliwość sprzedania tych zna-

czków posłowi szwajcarskiemu panu G., z którym zawarł znajomość, i który właśnie zatrzymał się w Łodzi. Przyjacie! udało się więc do właściciela, którego — pech chciał — właśnie nie było w domu i zabrał zbiory, oświadczył rodzinie, że ma na to od niego pozwolenie (chciał zrobić mu niespodziankę korzystną transakcją).

Alfons P. wziął od niego zbiór po spotkaniu w hallu Grand Hotelu, żeby zanieść go na górę panu posłowi. Po chwili jednak wrócił, mówiąc, że jego eksceleńcja nie zgadza się na taką cenę. Oczekujący opuścił i czekał dalej. Oszust powracał w ten sposób trzy razy na dół, za każdym razem chcąc już „zrezygnować” i zwrócić zbiór. Każde następnym razem wchodził do domu, aby w spokoju i w spokoju przeanalizować zawartość zbioru. Tym razem jednak zażądał od właściciela, którego — pech chciał — właśnie nie było w domu i zabrał zbiory, oświadczył rodzinie, że ma na to od niego pozwolenie (chciał zrobić mu niespodziankę korzystną transakcją).

Alfons P. został wreszcie aresztowany 9 grudnia 1932 r. i wypuszczony z braku dowodów winy (?) 13 marca roku następnego. Powtórnie zainteresowała się nim Prokuratura krakowska w maju 1933. wysyłać mu wezwanie do stawienia się.

W odpowiedzi na wezwanie Prokuratury Alfons P. pisał: „Nadmieniam, że po powrocie z Krakowa wziąłem się do pracy zbiorem ziół dla Państwowej Centrali Zielarskiej, a chodząc codziennie w ostatnim ubranie i butach, tak, że nie mam co ubrać, aby iechać do Krakowa...”

W mieszkaniu pustym bez mebli wyłączone w pierwszym domu, którego nam oddał z litości zarząd PGR w R., zbieramy zioła i w tym domu zioła te suszymy...”

Przez te trzy miesiące zarobiłem akurat na marne życie, bo oprócz mnie mam na utrzymaniu kobietę i dziecko, które jest moje oraz rodziców tej kobiety.

Po tym oświadczeniu Prokuratura zaprzestała dalszych dochodzeń w sprawie Alfonsa P.

„Harmer and Roock”, zajmującej się handlem samymi najdroższymi curiosami filatelistycznymi.

## PROFESOR PSYCHOLOGII KTÓRY NIE UMIAŁ PISAĆ

Nie kompromitacja w środowisku filatelistycznym, lecz aresztowanie Tadeusza J., z którym miał wiele wspólnych ciemnych sprawek, położyło kres działalności Alfonsa P. Inaczej nie wiadomo jak długo jeszcze grasowałby, kantując „nawynnych” filatelistów. Czy rzeczywiście tylko „nawynnych”?

Ten człowiek nie umiał pisać po polsku, co widać wyraźnie z listów załączonych do akt śledztwa, znakomicie natomiast podrabiał wszelkiego rodzaju „atesty”. Był posiadaczem nie tylko podrabionych stempek gwarancyjnych znakomitych polskich ekspertów jak prof. Łaskiewicz, Mikstein, W. Rachmanow, ale nawet sławnych Niemców — Richtera, Holtza, Hochkeplera i innych. Ogromny zapas fałszyków znaczków Wolnego Miasta Gdańska „uwierzytelniony” tymi stempekami przez Alfonsa P. kursuje do dziś, bardzo często nierozpoznanalny.

Nie sztuka oszusta zdecydował chyba jednak o jego powodzeniu, lecz same środowisko, w którym działał. Miał on do czynienia przeważnie z ludźmi uczciwymi, przyzwyczajonymi do rzetelnych transakcji i wierzącymi w święte opisanie ekspertów, rywalizującym jednak ze sobą posiadaniem cenniejszych zbiorów.

A nuż tym razem Alfons P. wynalazł coś oryginalnego? — myśleli. Wielu wiedziało, że po kolejnych niepowodzeniach transakcja z Alfonsiem P. przyniesie im wreszcie coś wartościowego. Występował on przecież coraz to z jakimś nowym „towarem”, czarował wyobraźnię, przebiegłe stosował ciągle nowe sztuczki.

Ten człowiek co prawda nie umiał pisać, ale odnalazł klucz do tajemnicy kunsztu: wiedział jak rozłudzać żądze posiadaczy.

Alfons P. został wreszcie aresztowany 9 grudnia 1932 r. i wypuszczony z braku dowodów winy (?) 13 marca roku następnego. Powtórnie zainteresowała się nim Prokuratura krakowska w maju 1933. wysyłać mu wezwanie do stawienia się.

W odpowiedzi na wezwanie Prokuratury Alfons P. pisał:

„Nadmieniam, że po powrocie z Krakowa wziąłem się do pracy zbiorem ziół dla Państwowej Centrali Zielarskiej, a chodząc codziennie w ostatnim ubranie i butach, tak, że nie mam co ubrać, aby iechać do Krakowa...”

Po tym oświadczeniu Prokuratura zaprzestała dalszych dochodzeń w sprawie Alfonsa P.

# „PIMPEK”

(Dalszy ciąg ze str. 7)

małżeństwa, które nie przekroczyły pięciu lat pozycia. Czy chcą mieć dzieci? Jak reagują kobiety na wiadomość o ciąży? Nigdy obojętnie. „Było dwoje, będzie i trzecie”, bardzo rzadko cieszą się z tego faktu. Lekarz zakładowy nie ma wątpliwości co do tego, że w większości wypadków przerwanie ciąży nie jest dla kobiety żadnym szokiem. Traktują to bardzo nierasobliwie, byle nie bólało. Przechodzi do gabinetu młoda dziewczyna. Lekarz stwierdza ciążę. Pada pytanie: meżatka? Jeśli nie, to wiadomo, co będzie dalej; „Panie doktorze, ja chciałabym usunąć”. Lekarz tłumaczy, że to zabieg szkodliwy dla zdrowia. Pacjentka wychodzi z gabinetu, za chwilę chichocze na korytarzu z koleżanką. Na widok lekarza przybiera minę pełną powągi.

Bez zachęty opowiedzą wszystko; z kim i kiedy. Nie przywiązują do tego żadnego znaczenia. Na przykład przychodzi meżatka, która nie chce mieć czwartego dziecka. Lekarz wypisuje skierowanie na komisję. — „Panie doktorze, ale ja chcę prywatnie”. — Ile zarabia pani mąż? „1.300 zł. ale na to mi już mamy odłożone”. Kultura życia seksualnego jest przerażająco niska. Większość kobiet traktuje tzw. obowiązki małżeńskie sensu stricto podobnie jak inne, niezbędne przyjemne ale nie do uniknięcia funkcje żony np. pranie koszul.

## BADZMY KULTURALNI!

Tym razem „Pimpek” nie jest zbyt zatłoczony. Przy wejściu awantura. Jakaś grupa młodych ludzi chce wejść bez zaproszeń. Wejścia broni „mama”, nieustraszona strażniczka obyczajów, upominająca: „Badzmy kulturalni!”. Na sali na pierwszy rzutu się w oczy światło. Nie jest właściwie czerwone, tylko liloworóżowe. Twarze nabierały innych odcieni. Zawadłackie miny zastępuje wyraz zamyslenia, sprawiające dziwne wrażenie na kimś, kto



\*) Zachowujemy oryginalny styl listu.

## Najostrzejsze ołówki świata

# STEINBERG i ORKIESTRA

Nie łatwo było zdecydować, co by tu dać na inaugurację wznowionego cyklu „Najostrzejszych ołówków”. Oczywiście od razu nasuwało się jedno nazwisko — Saul Steinberg, najwcześniejszy karykaturzysta naszych czasów. Więc choć był już Steinberg przed rokiem dość szczegółowo prezentowany w „Odgłosach” — ale o amerykańskim grafiku można pisać nieskończenie. Tym bardziej że da to okazję do przedstawienia nieznanego zupełnie w Polsce cyklu szkiców.

W swoich rysunkach o orkiestrze jest Steinberg pionierem. Poszedł dalej, niż to czynili twórcy filmów rysunkowych, którzy usiłowali stwarzać plastyczne wizje całych utworów muzycznych. I tym większą wartość ma steinbergowski eksperyment, gdy przypomniemy, jak ograniczonym tworzywem dysponuje grafik: papierem i ołówkiem.

Jest Steinberg odkrywca, bo zamiast ilustrować parodiuje. Tu należy od razu wyjaśnić: amerykański humorysta nie parodiuje po prostu dźwięku instrumentów muzycznych. Chodzi o coś innego — Steinberg stwarza graficzną parodię przeciętnych i powszechnych wyobrażeń ludzkich o tych dźwiękach.

Dlatego też każdy — kto popatrzy na założone rysunek — powie od razu: „Rzeczywiście, tak wygląda dźwięk trąby, a tak — farty”. I potem się roześmieje — z samego siebie, z własnych wyobrażeń o muzyce.

J-ERT.



te oblicza widział przed chwilą w pełnym świetle i aureoli więcej niż pikantnych zdań, wypowiedzianych z naturalną swobodą.

Chłopcy i dziewczęta siedzą przy stolikach, przeważnie oddzielnie. Dziewczęta puberlane i zrobione na „nowoczesne”. Mocno umalowane twarze, duże dekolty, długie włosy, papierosa w ręku. Szokujące zestawienie troski o uwydatnienie kształtów i niedbałości fryzur. Chłopcy nie ogoleni, oparci o stoły. Orkiestra widać otrzymała kategorię czyny zakaz jakichkolwiek produkcji jazzowych, bo gra tylko tańce klasyczne. Parę kręca się po sali dość ospale. Nagle daje się zauważyć poruszenie. Na scenie staje piosenkarz. Akompaniując sobie na akordeonie śpiewa sentymentalne szlagery przeważnie sprzed lat trzydziestu.

„Kociaki” w złym stylu wpatrują się w przestrzeń odmawiającym wzrokiem. Nie ogoleni młodzieńcy mają na twarzach wyraz jeszcze głębszego zamyślenia.

Czy taki sam wyraz twarzy, jak przy słuchaniu tych piosenek mają wtedy, kiedy niecierpliwie przerywają stronie „Trędowatej”, albo powieści o bohaterze, który był najślinniejszy i wszystkich pokonał? Czy w tej chwili nieświadomie nie ośmieszają własnej pozy, własnej „nowoczesności”?

### KULTURA MUSI DO NICH PRZYJŚĆ

Młodzież zbyt posłuszna, to obraz by może dla wielu wymarzony, ale nienaturalny. Łatwo poradzić sobie z młodzieżą przy pomocy komenderowania, trudno znaleźć teraz inne metody wychowawcze. Czy zawsze wszędzie się ich szuka? Czy fakt, że młodzież chce mieć kluby i o nie walczy — nie świadczy o tym, że właśnie w ramach tych klubów należy udostępnić nie tylko konieczne formy rozrywki, które by także kształtowały?

Ale zaznaczam: w Zakładach im. Dzierżyńskiego pracuje 4 tys. ludzi, w tym

50 proc. robotników przedwojennych. Praca, ciężkie warunki mieszkaniowe, częste kłopoty rodzinne, to w większości wypadków najrealniejszą część życia tych ludzi. Ci ludzie nie będą rwać się do kultury. Kultura musi do nich przyjść.

W zakładach krąży męt o „Celulozie”. Podobno tam są zespoły amatorskie, są spotkania z literatami, tam jest inaczej. Przyczyną takiego stanu? Wielu twierdzi: dlatego, że opiekuje się nią Igor Newerly. Nie ulega wątpliwości, że do działalności kulturalnej na terenie fabryk potrzebni są ludzie, którzy nie ograniczą się do jednorazowego spotkania z zalogą, ale utrzymają z nią stały kontakt. Potrzebni są również odpowiednio dobrani kierownicy świetlic. Tylko wówczas nastąpi Plenum KL PZPR w sprawach kultury nie przyniesie ponownego uświadomienia sobie przykrych faktów.

E. WRÓBLEWSKA

## NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:  
Poziomo — 1) Wylóg u kurtki, płaszcz (tp. 3) Jedna z 12 konstelacji zodiaku, 7) Tytuł kierownika spraw oświa-

towych, 9) Granica, granic, 10) Sędzia mahometński, 11) Np. motocyklowy, 13) Imię żeńskie, 14) Ruch obrotowy, 15) Ptak, 16) Wrota.

## Miejszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

### Szumne zapowiedzi i... klops

Kiedy w roku już ub. prof. Orlicz obejmował dyrekcję artystyczną „Teatru 7.15” — zaczął od szumnych deklaracji w prasie.

Obiecywał niejako szukać profilu dla tego teatru, zapowiadał repertuar z ambicjami; programy związane z bieżącym życiem; wieczory czy też popołudniówki, poświęcone poezji i satyrze.

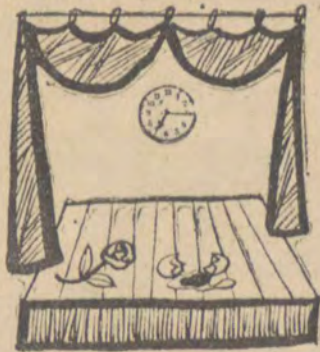
Zapowiedzi te zostały przyjęte z zadowoleniem: nadzieja, „Teatr 7.15” od dłuższego czasu nie zdradzał żadnych ciekawszych skłonności ograniczając się do wystawiania sztuk w rodzaju „Dziewcząt z fotografii”. O profilu, który by w jakiś, choćby bardzo skromny sposób, wyróżniał ten teatr spośród innych, nikt nie myślał.

Oczywiście, realizacja takich obietnic, nie należy do łatwych. Ale też i istnienie w Łodzi samodzielnego teatru który wystawia kilka razy do roku chodliwe sztuczki rozrywkowe, budzi zrozumiałe pretensje. Po to bowiem żeby wystawić te trzy czy cztery sztuczki, nie trzeba samodzielnej administracji, czy dyrekcji! Równie dobrze można by powierzyć prowadzenie tej scenki któremuś z naszych wiekszych i ambitniejszych teatrów. Jeśli ma zaś „Teatr 7.15” istnieć jako samodzielny organizm, to pod warunkiem, iż znajdują się w tym organizmie jakieś żywe tkanki, specyficzne właśnie dla tej instytucji.

Niestety nie na razie nie wskazuje na to aby dyrekcja pamiętała o swoich ogłoszonych w prasie zobowiązaniach!

Nowa dyrekcja, jak dotąd, przygotowała premiere sztuki „Rozwiedzmy się” w przekładzie samego dyr. Orlicza.

Nie ma w tym chyba nic gorzszego, przynajmniej biorąc snrławę porównawczo. Kilka lat temu miał ten teatr dyrektora, który jednocześnie był konferansjerem, reżyserem i autorem tekstów. Obecny dyrektor jest jedynie tłumaczem zakwalifikowanej przez siebie sztuki. Na ile więc tamtego szumowa swą skromnością!



Niemniej, nie o „Dziewcząt z fotografii” i nie o „Rozwiedzmy się” chodzi!

Ktoś powinien w końcu zadbać o to, żeby „Teatr 7.15” zaraził się jakimś sensownym ambicjami, wnosł coś własnego do życia teatralnego miasta, szukał swojego, choćby bardzo niewyraźnego na początek — oblicza!

A na razie — klops, proszę państwa!

WKRÓTCE NA ŁÓDZKICH EKRAKACH. POJAWIA SIĘ TAKŻE I FILMY. DOZWOLONE OD LAT 22! SZCZEGÓŁY W AFISZACH!!!

## Zabawne zdarzenie

Pań baronowa Burdlet-Coutte, jedna z wybitniejszych przedstawicielek angielskiego high life'u, skarżyła się w dniach londyńskich na następującą przygodę, która spotkała ją podczas ostatniej bytności w Paryżu. Pań baronowa udała się do jednego z olbrzymich magazynów paryskich, poczyniła tam zakupy, a następnie, pragnąc bliżej zapoznać się z kolosalnym przedsiębiorstwem, zaczęła przechodzić kolejno z jednego oddziału do drugiego. Wkrótce zauważyła, że subiekt z każdego poprzedniego oddziału, odprowadzając Angielkę do oddziału następnego, zwracał się do swego kolegi z sąsiedniego oddziału i wymawiał szepem dwa wyrazy „deux-dix”.

Zaciekawiona baronowa zapytała w końcu jednego z subiektów o znaczenie tych słów tajemniczych, otrzymała jednak odpowiedź wymijającą. Zaintygowana jeszcze bardziej, zwróciła się do dyrektora, który jednak, widocznie zakłopotany ciekawością turystki, zbyt ją kilkoma nieznaczącymi objaśnieniami. Doprowadzona do najwyższego zaciekania, pani Burdlet-Coutte postanowiła za wszelką cenę zdobyć żądaną wiadomość. Udała się tedy do jednego z biur wywiadowczych, które podjęło się przekupić któregoś z subiektów i skłonić go do zdradzenia tajemnicy. Nazajutrz agent wywiadowczego biura złożył Angielce wizytę: „Cóż, dowiedziałeś się pan?”... „A jakże!... Cóż więc znaczą te wyrazy deux-dix?”... „Znaczą dwoje dziesięć”. „To wiadomo przecież, ale jaka jest ich treść?”... „Trzęść ich znaczą: zwróć no, kolego dwoje oczu na te dziesięć pałców”. „Wiec?”... „Wiec to znaczy ostatecznie, iż wzięto panią baronową za elegancką złodziejkę”. Wykrzyknęła ta tajemnicę kosztowała baronową 1000 fr. Słusznie ukarana ciekawości...

(„Wędrowiec”, 1899)

Pionowo — 1) Rywal, 9) Pseudonim pisarza polskiego, 4) Atak szalu, 5) Żegluga wodna lub powietrzna, 6) Stopień oficerski, 7) Mleko, 8) Działalność społeczna, 12) Los, 13) Roślina biotna.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

### Rozwiązanie krzyżówki

Poziomo — makata, amfora, Somali, kabina, indor, krawał, Madera, czynnik, pomada, kimonos, aniał, stront, talent, ananasa, sakata.

Pionowo — muszka, kompas, tala, miara, oficer, aparat, intrygant, komunikat, opaska, Smyrna, moneta, kosciska, Dania, Hawa.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowała:

1. Krzysztof Klimasiński, Łódź, ul. S. Żeromskiego 77 m. 10.
2. Alfreda Sej, Łódź, ul. Zarzečna 27.



### Ceny „Wartburga” i „Wolgi”

Byliśmy kilkakrotnie zapytywani przez naszych Czytelników o nowe ceny tych pojazdów, wobec sprzecznych informacji prasowych. Podajemy więc podstawę prawną nowych cen:

Cena samochodu „Wartburg” — 86.000 zł została ustalona decyzją Państwowej Komisji Cen z dnia 12. 11. 1959 r. znak: C-II-1-24-235/59;

Cena samochodu „Wolga” — 160.000 zł została ustalona decyzją Państwowej Komisji Cen z dnia 28. 11. 1959 r. znak: C-II-1-1-0-297/59.

### Warto się zastanowić

nad wprowadzeniem w niektórych naszych restauracjach odwiedzanych licznie przez kierowców „bezaalkoholowego kaciaka”. Jak donosiła prasa codzienna, „kaciaki” takie wprowadzono w jednym z pawilów bratniej Czechosłowacji i cieszą się one zasłużonym powodzeniem.

Pod adresem Łódzkich Zakładów Gastronomicznych kierujemy apel: warto się nad tym poważnie zastanowić.

### Ciekawostki

Klientów, którzy przedplacili w „Motobycie” samochody „Skoda Octavia Super” spotkała miła niespodzianka. Otóż ci, którzy podpisali pierwsze numery deklaracji — otrzymali już samochody, mimo iż pierwsze transporty wozów spodziewane są dopiero w I kwartale 1960 r. Możliwe to było dzięki temu, że Powszechna Kasa Oszczędności, dla której rezerwuje się samochody przeznaczone na losowania książek oszczędnościowych, zerzeka się pewnej ilości zarezerwowanych dla niej samochodów. Stąd przyjemna premia gwiazdkowa i miła niespodzianka dla kilku klientów.

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 344-79 O Wzrostki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł kwartalnie 12,- zł O Redakcja nie zamawia reklam w „Odgłosach” Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Z. 34. L. 60. R-4



**NAZWANIE ŁODZI „POLSKIM HOLLYWOOD”** — BRZMI TROCHE GROTESKOWO. A JEDNAK CAŁY, BARDZIEJ LUB MNIEJ CHWALEBNY DORÓBEK NASZEJ KINEMATOGRAFII W MINIONYM PIĘTNASTOLECIU — TU WZIAŁ POCZĄTEK, A W WIEKSZOŚCI — TU WŁAŚNIE SIĘ DOKONAŁ. SKŁADA SIĘ NA TEN DORÓBEK PRACA WIELU LUDZI — OD REŻYSERÓW PO ROBOTNIKÓW NIEWYKVALIFIKOWANYCH. DZIAŁALNOŚĆ WIELU INSTYTUCJI — OD WYTWÓRNI FILMÓW FABULARNYCH PO MAŁE KINO NA PRZEDMIĘSIU PIĘTNASTOLECIE — TO OKAZJA DO BILANSÓW I PODSUMOWAŃ. TRUDNO BYŁOBY JEDNAK OMÓWIĆ — NAWET W NAJWIĘKSZYM SKRÓCIE — BILANS OŚMIACIENIA „ŁODZI FILMOWEJ”. WYBRALISMY PRZETO INNĄ DROGĘ — POKAZANIA ŚRODOWISKA FILMOWEGO, JEGO PROBLEMÓW, SUKCESÓW, PORAŻEK — WYRYWKOWO, LECZ MOŻLIWIE WSZECHSTRONNIE. OD FRONTU I OD KULIS... CHWAŁAC — I WYTYKAJĄC...

**„AKTUALNOŚCI”** — kino, które wyświetla programy składane krótkometrażówek. Kino takie istniało niegdyś w Łodzi — obecnie, wbrew jednomyślnej opinii — żadna siła nie jest zdolna skłonić Okręgowego Zarządu. Kin do reaktywowania pozytywnej placówki.

**BAR** — ulubione miejsce spotkań, dyskusji... i plotek w atelier łódzkim. W przeciwieństwie do innych barów nie podają tu alkoholu, jest za to niezła kawa (po turecku) i sympatyczna obsługa.

**CFW** — Centrala Wynajmu Filmów. Instytucja, która zajmuje się dystrybucją czyli rozpowszechnianiem filmów. Złych i dobrych, polskich i zagranicznych. Wszelkie skargi na repertuar należy kierować właśnie do CFW-u.

**DUBBING** — system opracowywania filmów zagranicznych, a także popularna nazwa łódzkiego Studia Opracowań Dialogowych.

**Mój rozmówcy — p. HALINA GREKOWICZ i p. LONGIN GAJDA** pracują w studio dubbingowym od początku jego istnienia, tzn. już ponad 10 lat.

— Zaczęliśmy pracę od zdubbingowania filmu „Harry Smith odkrywa Amerykę”. Dubbing ten wykonany był przy pomocy fachowców radzieckich przez reż. Lidie Zamkow. W polskiej wersji wystąpili wówczas Danuta Szafarska i Jerzy Duszyński. Studio było jeszcze bardzo prymitywne, nie mieliśmy doświadczenia — więc nagrywanie dialogów trwało wówczas ponad 100 dni roboczych.

— A obecnie? — Teraz realizujemy film w ciągu 28—35 dni. Rocznie możemy zatem dubbingować 12 filmów — i tyle też wynosi nasz plan na rok 1960.

— Dubbing jest instytucją czasem krytykowaną...

— Oczywiście — zdarza się opracowania słabsze — lub wręcz nieporozumienia. Tak było np. z filmem „Mury Malanagi”. W oryginalnym bohater jest kryminalista, w wersji polskiej zrobiono zeń... uciekiniera politycznego!

— A jakie filmy wspomina się najlepiej w waszym studio? — „Wielki obywatel”, „Wszystko o Ewie”, „Cyrano de Bergerac”, „Zbrodnia i kara”.

**DŹWIĘK** — stałe utrapienie widzów i realizatorów. Przeważnie dzieje się tak, że filmy mają dźwięk dobry, który w aparaturze kin łódzkich staje się bełkotem. Uwaga! — najlepszą aparaturę ma w Łodzi kino „Stylowy”.

**EXODUS** — zjawisko masowej ucieczki z Łodzi realizatorów filmowych, przeważnie reżyserów. Celem przenosin jest Warszawa, która wabi „przygodami intelektualnymi” (rzecz niedawno sześcioletwo wyłożona w pewnym tygodniku), lub Wrocław, który oferuje realizatorom mieszkanie (!!).

**FFK** — Festiwal Filmów Krótkometrażowych, zorganizowany przez „Głos Robotniczy” i CWF. Impreza arcypożyteczna, oby w przyszłości...



Z filmu „Szkoła Kenara”. Produkcja WFO-Łódź

szym roku miała zasięg ogólnopolski!

**GRAND HOTEL** — tu mieszka ci wszyscy realizatorzy, którzy uprzednio wyprzedzili się z Łodzi. Do tego — stałe trochę aktorów filmowych z innych miast. Gdyby zsumować opłaty za wynajem „filmowych pokoi” w Grandzie — można by za to zbudować w Łodzi specjalny hotel dla filmowców.

**„GRANDKA”** — kawiarnia, w której najchętniej przebywa starsze pokolenie ludzi filmu. Wnętrze lokau projektował też filmowiec, inż. Radzinowicz.

**„HONORATKA”** — kawiarnia młodzieży filmowej.

— Jakie są warunki działalności filmowców w „Honoratce” w ciągu piętnastolecia? — pyta tam p. Bruzdzińskiej.

— Trudno ustalić, nikt nie notuje, ile tu powstaje pomysłów ani ile p. Etlar napisał recenzji filmowych. Z rzeczy główniejszych warto jednak wymienić napisany przez Polańskiego całkowicie w „Honoratce” scenariusz „Dwóch ludzi z szafa”.

— A czy ta ogromna liczba pięknych kobiet, które codziennie odwiedzają „Honoratkę” — też ma związek z filmowcami?

— Też trudno powiedzieć. Filmowcy twierdzą, że piękne kobiety przechodzą „dla nich”, a one — że odwrotnie. Sądzą, że obie strony mają dużo racji. Czasem dochodzi z tego powodu do dodatkowych emocji — np. mgr. Hryniewski za kochał się w Basi Kwiatkowskiej — a za nią przy „Honoratce” ukochał się jego Klub Jeździecki...

— A inne wydarzenia? — Czterdziestoosobowy „bal” z okazji pełnej nagrody na zagranicznym festiwalu filmowym...

**JUBILEUSZ** piętnastolecia największej w Polsce wytwórni filmowej dopiero nastąpi. Ale już dziś warto posłuchać wspomnień reż. A-



Z filmu „Szkoła Kenara”. Produkcja WFO-Łódź

leksandra Forda, jednego z jej założycieli.

— Na halę zdjęciową zaadaptowaliśmy zwykłą halę sportową. Brakowało zupełnie fachowców i sprzętu. Ludzi odnajdywałem w różnych zakątkach kraju, wyposażenie „zdo-bywałem”, albo pożyczęczało się z wytwórni radzieckich. Trochę później zaczęła produkcję miejscowa fabryka aparaty filmowej. Jej budowę zaczęliśmy równo cześnie z budową atelier. Mimo trudności atelier ruszyło szybko, bo zaledwie w ciągu czterech miesięcy.

— Jak długo trwała produkcja pierwszych filmów? — „Ulicę Graniczną” np. zacząłem w lutym 1947 i pod koniec listopada film był gotów. Teraz dwie serie „Kryżaków” nakręcę w ciągu 6 miesięcy... Jed-



Barbara Kwiatkowska i Bronisław Pawlik w filmie „Tysiąc talarów”. Produkcja WFF-Łódź.

nak jak na tamte możliwości — pracowaliśmy nieźle.

— Sądzą, że owe wspomnienia związały pana jakoś z Łodzią?

— Nie tylko one. Przecież urodziłem się w pobliżu Łodzi.

A około 1930 roku nakręciłem o Łodzi krótkometrażówkę — „Polski Manchester”. Był to poetycki reportaż o pracy łódzkich robotników. I choć od 1946 roku mieszkam w Warszawie — mam dla waszego miasta ciągle wiele sentymentu.

**KINO STUDYJNE** — dawniej „Adria”, obecnie „Gdynia”, wyświetla najwarłowskiwsze w zasadzie filmy, często wznowienia sprzed paru lat. Istnieje od roku, ma już swoją stałą publiczność.

**LALKI** — albo jak kto woli — kukiełki — są bohaterami większości krótkometrażówek, produkowanych przez SFL — Łódzkie Studio Filmów Lalkowych.

**Dyrektor SFL p. RYSZARD BRUDZYŃSKI** opowiada: — Ostatnio w Studio mieliśmy mały przełom. Zakończyliśmy okres „nanów”, zaczęliśmy okres „liczb”. To znaczy — w dotychczasowej produkcji przeważały takie tytuły: „Pan Niteczka”, „Pan Szaraczek”, „Pan Soczewka”, „Pan Korek”. Teraz przeważać będą inne tytuły: „Dwa pieski”, „Dwaj złodzieje”, „Trzy świnki”, „Pięć minut dla zdrowia” itp. Poza tym zaczynamy ekspansję te rytorialną — do Arabii, w puszcze Afryki, na Arktyce...

— Czy film lalkowy ma w Polsce jakies tradycje?

— Właściwie nie. Do wojny robiono tylko reklamówki. Jedynie Wasilewski podejmował próby artystycznego filmu lalkowego. On też zrealizował pierwszy w Polsce Ludowej film lalkowy — „Za króla Krakusa”.

— Słyszeliśmy, że polskie filmy lalkowe odnoszą za granicą sukcesy.

— Czy aż sukcesy? Po prostu — podobają się. Ostatnio np. podobał się w Locarno „Ondraszek” Wacława Kondka.

**ŁÓDŹ** — miasto niestety nieobecne w polskich filmach fabularnych i krótkometrażowych

**MALŻENSTWA** — oczywiście filmowe i łódzkie. Najpopularniejsze — Barbara Kwiatkowska i Roman Po-

lański, Barbara Połomska i Bogusław Lambach, Halina Wirska i Tadeusz Chmielewski.

**NAPISY** — mało kto wie, że napisy do filmów obcojęzycznych opracowuje się także w Łodzi. Tutejszy zespół tłumaczy ma w swym powojennym dorobku 800 filmów!

**OZK** — Okręgowy Zarząd Kin. Tej właśnie instytucji zawdzięczamy, że nie ma w Łodzi Kina Aktualności. Natomiast żadną zasługą OZK jest utrzymywanie Kina Studyjnego.

**PWSTIF** — Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna i Filmowa. Dawna PWSF posiada imponujący dorobek artystyczny i pedagogiczny — to właśnie absolwenci tej uczelni są autorami większości światowych sukcesów naszej kinematografii. O PWSTIF napiszemy wkrótce obszerniej w „Mieszance”.

**RYSUNKOWE FILMY** — to nowa dziedzina produkcji Studia Filmów Lalkowych. Pierwsze filmy rysunkowe SFL ujrzymy już w bieżącym roku.

**STATYŚCI** — najbardziej anonimowi i najgorzej opłaceni współtwórcy filmów fabularnych. Stali statyści łódzcy, zapisani w kartotekach atelier na Łąkowej, rekrutują się przeważnie z rencistów i studentów.

**TELEWIZJA** jest najmłodszym producentem filmów w Łodzi. Operatorzy Telewizji realizują kroniki filmowe — na razie tylko kroniki.

**UBOCZNA PRODUKCJA** — poza „normalnymi”, pełnometrażowymi filmami fabularnymi Zespoły Autorów Filmowych nakręciły przed paru laty kilka krótkometrażówek, niejako na uboczu swej działalności. Filmyki owe miały charakter eksperymentów, przeważnie bardzo udanych („Somnambule”, „Rozmowy jazzowe”).

Obecnie Zespoły zaniechały owej „ubocznej produkcji”. A szkoda!

**WFF** — Wytwórnia Filmów Fabularnych, największe przedsiębiorstwo filmowe w Polsce. Głós ma dyrektora WFF — inż. Stempel.

— Pierwszym filmem WFF były „Zakazane piosenki” Buczkowskiego. Potem Wanda Jakubowska rozpoczęła „Ostatni etap”, a Aleksander Ford „Ulicę Graniczną”.

— Ile filmów zrobiła Wytwórnia w ciągu 15 lat?

— Około 80. Do 1956 roku produkowaliśmy 3 do 4 tytułów rocznie, teraz 12—13. Taka jest zresztą zdolność produkcyjna łódzkiej WFF. Obecnie budujemy jeszcze jedną halę zdjęciową, co pozwoli na zwiększenie produkcji do 17—18 filmów.

— A jak jest z wyposażeniem technicznym?

— Nienajgorzej. Uważam, że dorównujemy pod tym względem Czechosłowacji, NRD, Związkowi Radzieckiemu. A niektóre stare wytwórnie francuskie nawet przecigneliśmy.

**WFO** — Wytwórnia Filmów Oświatowych. Instytucja ogromnie zasłużona na polu oświaty (film — pomocą pedagogiczną w szkole, nauki (film — instrumentem badań naukowych), w dziedzinie propagandy higieny i zdrowia, popularyzacji sztuki etc. O dorobku i planach WFO pisaliśmy obszernie w poprzednim numerze „Odgłosów”.

**ZESPOŁY** — pleno tytuło „Zjednoczone Zespoły Realizatorów Filmowych” — instytucja zrzeszająca pracowników twórczych filmu fabularnego. Powołanie do życia zespołów stało się 4 lata temu przełomem ilościowym i artystycznym. Obecnie ZZRF jednoczą 8 zespołów: „Droga”, „Iluzjon”, „Kadr”, „Kamera”, „Rytm”, „Start”, „Studio”, „Syrena”. O planach poszczególnych zespołów informujemy w cyklu wywiadów (patrz poprzedni i następny numer „Odgłosów”).

ZZRF jest przedsiębiorstwem o tyle oryginalnym, że ma dyrekcję w Warszawie, a większość pracowników mieszka i pracuje w Łodzi.

**„ENCYKLOPEDIĘ” OPRAWOWAŁ MAR. KOST. ROZMOWY PRZEPROWADZIŁ T. ZAKOWIECKI**